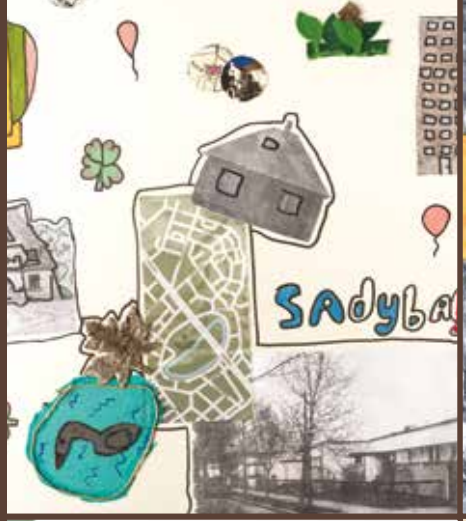
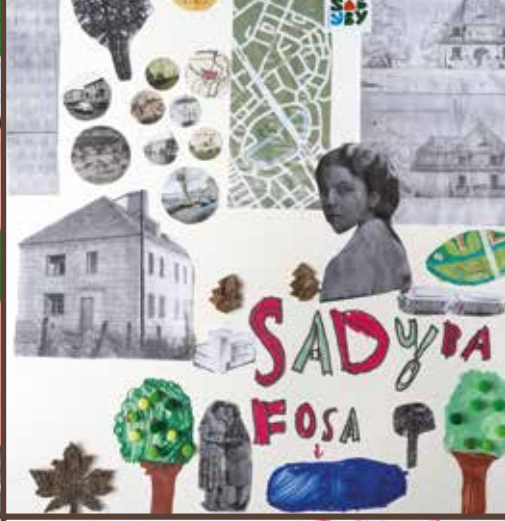
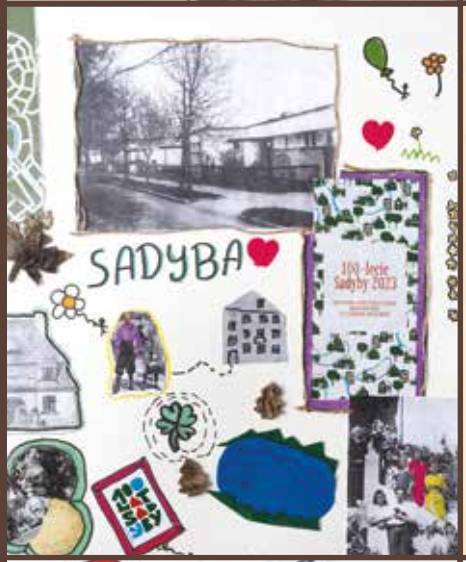








Wspomnienia z naszej Sadyby









Wspomnienia z naszej Sadyby

Warszawa 2023

Spis treści:

9 Wstęp

11 Monika Jaworowska – ul. Jeziorna

21 Lunia Bonder – ul. Kołobrzeska

25 Paweł Rubaszewski – ul. św. Bonifacego

29 Katarzyna Barczyńska – ul. św. Bonifacego

34 Anna Michałowska-Smak – Halinka

39 Joanna Serafińska – ul. Kąkolewska

44 Agata Mianowska – ul. Goraszewska

46 Elżbieta Rola – ul. Koronowska

52 Anna Urbańska – ul. Koronowska

54 Grażyna Smorga – ul. Powsińska

57 Mariusz Arno Jaworowski – ul. św. Bonifacego

64 Spis fotografii i ilustracji

Jeziorko, szkoła, „Sadybianka”, łąki i czarne drogi żyją we wspomnieniach bohaterów tej publikacji. Czas płynie, a pamięć jest ulotna, dlatego nasze „dzieciaki” postanowiły spisać to, co pamiętają.

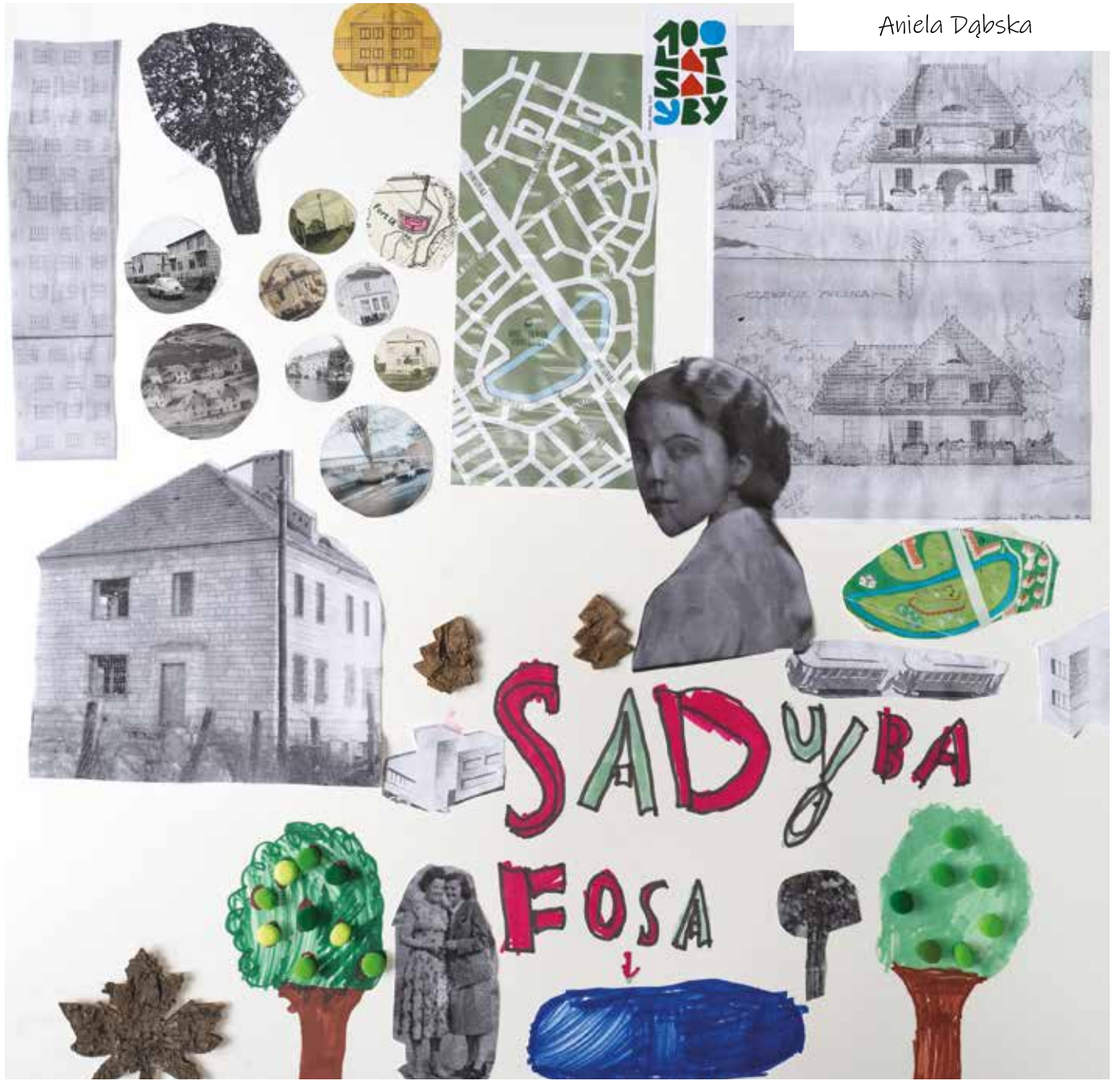
Zapamiętany kiosk z gazetami, okrągły chleb z chrupiącą skórką, drewniany most, gra w dwa ognie czy gumę to bezcenne wspomnienia. Dzięki nim możemy się dowiedzieć, jak kiedyś było w miejscu, w którym żyjemy dzisiaj. Co jest podobne czy wręcz identyczne, a co zginęło bezpowrotnie.

Bonifacego, Kołobrzeska, Powsińska, Kąkolewska, Koronowska, Godebskiego to ulice, na których wychowywali się bohaterowie tej książki. To z nimi mamy możliwość zajrzeć nad jeziorko, pójść na targ, do szkoły, kupić w kiosku „Świerszczyk”, kopać tunele w piasku lub zagrać w zbijaka.

Ich wspomnienia utrwalone na kartach tej publikacji są bezcenną lekcją historii dla młodszych pokoleń.

Zapraszamy do lektury!

Aleksandra Karkowska



Aniela Dąbska

Wstęp

Ta niewielka publikacja to spisane wspomnienia z naszej sadybiańskiej rzeczywistości – peerelowskiej i późniejszej. My, to grupa znajomych, sąsiadów, koleżanek i kolegów z jednej klasy, jednej szkoły. To także pani Hania, która mieszkała i działała społecznie na Sadybie, i nasza pani Smorga, nauczycielka matematyki ze Szkoły Podstawowej nr 103, związana z nią od początku. Wspomnienia są wzbogacone zdjęciami z naszych domowych szuflad i kolażami wykonanymi przez dzieci w ramach obchodów stulecia powstania Sadyby.

Każdy z nas opisał swój kawałek Sadyby, a zarazem nasz kawałek Sadyby, bo choć pamiętamy to samo, to jednak w trochę inny sposób. I tak nasz kiosk przy skwerku był dla jednych „kioskiem po drodze do szkoły", dla innych miejscem dziecięcych tęsknot za nową zabawką czy nowym pisemkiem w tej niezbyt kolorowej peerelowskiej codzienności, dla jeszcze innych punktem spotkań (mówiliśmy „spotkamy się przy kiosku").

Naszą ideą było udokumentowanie tamtych czasów. Tego, jak się bawiliśmy, jak czuliśmy się w szkole i jak ją postrzegaliśmy, co było dla nas wyjątkowe w tym miejscu i tym czasie, kogo spotkaliśmy na naszej drodze. Nie minę się z prawdą, jeśli powiem, że wszyscy dobrze się bawiliśmy, pisząc nasze wspomnienia. „A pamiętasz jak... A pamiętasz to..." towarzyszyło nam przez ostatni czas. Chcieliśmy pokazać też, jak zmieniała się Sadyba – jej charakter i jej mieszkańcy.

Skąd taki pomysł? Z mojego doświadczenia, a dziś pewności, że jeśli nie spisze się tego, co mówią inni, tego, co mają do powiedzenia pokolenia odchodzące, mamy niewielkie szanse, by to zachować. Miałam szczęście żyć obok bardzo barwnych ludzi, w tym moich teściów. Pamiętam tylko niektóre anegdoty, stare dowcipy, historie, które opowiadali przy rodzinnym stole. Zbyt późno dotarło do mnie, że nie zapamiętam wszystkiego, i zbyt późno namówiłam ich na namalowanie słowem swojego świata. Wraz z nimi część ich rzeczywistości odeszła bezpowrotnie. Jeżeli nie opiszemy wspomnień słowami, nie upublicznimy prywatnych archiwów, ta historia, historia naszej Sadyby, odejdzie razem z nami. Ta niewielka publikacja to dobry początek.

Monika Jaworowska



Monika Stępień – przejażdżka moskwiczem, Warszawa, lata 60. XX w.



Monika Stępień z sąsiadką Elą Komorowską w ogrodzie na ul. Kuracyjnej, Warszawa, lata 60. XX w.



Monika Stępień w wózku, Warszawa, lata 60. XX w.



Monika Stępień w ogrodzie na ul. Jeziornej, Warszawa, lata 60. XX w.

Monika Jaworowska

ul. Jeziorna

Sadyba, PRL i nasze dzieciństwo to było jedno, co sprawiło, że ci z nas, którzy pozostali na Sadybie i tam mieszkają, jak i ci, którzy się wyprowadzili, kochają to miejsce. Pierwsi nie wyobrażają sobie, że można żyć gdzie indziej, a drudzy tęsknią i czasem wracają. Dzieciństwo na Sadybie miało czar wtedy i jeszcze większy czar (co jest zrozumiałe) ma we wspomnieniach.

Kochaliśmy lato i kochaliśmy zimę. Lato przychodziło w maju i zaczynał się sezon wspólnych zabaw z moimi sąsiadami. Nie wiem, co lubiłam najbardziej – czy podchody na łące przy jeziorku, czy piłkę nożną z chłopakami, czy dwa ognie, czy grę w gumę lub w klasy; kreatywność była nieograniczona. O siedzeniu w domu nie było mowy. Wpadaliśmy tam, żeby chwycić pajdę chleba z masłem, szczypiorkiem i rzodkiewką wyrwanymi z małego zagonka w ogaródku. Ogródki naszych rodziców wyglądały zupełnie inaczej niż te dzisiaj, zaprojektowane przez firmy ogrodnicze. W ogrodach rosły drzewa owocowe: malinowe jabłonie, szara reneta, kronselka, antonówka, no i te pierwsze jabłka – papierówki, które jedliśmy jeszcze kwaśne, bo nie mogliśmy się doczekać dojrzałych owoców. Poza jabłoniami rosły gruszki klapsy i często ulęgałki, śliwki węgierki, renklody i najważniejsze – morele. To był absolutny hit. Zapomniałabym o czereśniach, po których się wspinaliśmy. My, dziewczynki, w sezonie czereśniowym nosiłyśmy czereśniową biżuterię za uszami. Pamiętam jedzenie bez opamiętania jeszcze zielonego agrestu, co najczęściej kończyło się bólem brzucha, ale nikt się tym nie przejmował. Mamy nasze siały na wiosnę w przydomowych ogródkach szczypiorek, koperek, marchewkę, która nigdy nie dorastała do właściwych rozmiarów, bo dzieci zjadały ją wyrwaną prosto z grządki, najczęściej bez mycia. Wszyscy przeżyli.

W maju chodziłam z mamą do ogrodnika, pana Rutkowskiego, starszego pana, niezwykle kulturalnego i miłego. Miał inspekty pełne malutkich sadzonek sałaty, rzodkiewek, pomidorów i przede wszystkim kolorowych bratków. Widać było, że ta ciężka praca sprawiała mu wielką radość. Był pasjonatem. Te wycieczki na drugą stronę jeziorka były dla mnie radością, czekałam na nie, dopytując mamę: „Kiedy pójdziemy do pana Rutkowskiego?”, ale były też związane ze stresem. Bardzo bałam się przechodzić przez drewniany most, który stanowił przedłużenie ulicy Goraszewskiej, bo był on bardzo dziurawy i trzeszczał. Bałam się, że wpadniemy do wody i nie dotrzemy na drugą stronę. Zawsze szłam, prawie biegnąc, żeby jak najszybciej mieć to z głowy. Nagrodą był zawsze ten raj z kolorowych bratków.

Po prawej stronie mostu stał drewniany domek na wodzie. Można było tam wypożyczać łódki

i kajaki. Pamiętam to miejsce jako tajemnicze i urokliwe. Mama mówiła, że jak się wprowadziliśmy do domu na Jeziornej, po prawej stronie od domku na wodzie była hodowla zwierząt futerkowych, chyba nutrii.

Lato to czekanie, kiedy pojawią się chrabąszcze. Gdy tylko słychać było wieczorne bzyczenie na łące przy jeziorku, zjawialiśmy się jak na zawołanie z butelkami i zaczynały się zawody, kto złapie więcej chrabąszczy do butelki. Oczywiście później wszystkie wypuszczaliśmy (po kilkakrotnym przyłożeniu do ucha brzęczącej butelki). Joasia, moja koleżanka ze szkolnej ławki, która mieszkała parę ulic dalej i łapała chrabąszcze w innej grupie, mówiła, że oni zamykali je w pudełku po zapałkach i nazywali „brzęczącym radiem".

Cieszył deszcz, bo wtedy wkładaliśmy kalosze i brodziliśmy w kałużach. Największe były na mojej ulicy, czyli Jeziornej. Niektóre były tak głębokie, że woda przelewała się przez czarne kalosze.

Lato to zabawa lalkami w ogrodzie. Wynosiłyśmy z moimi sąsiadkami, Elą i Iwonką, wszystkie nasze skarby i zaczynała się zabawa na kocyku. Było gotowanie dla lalek zupek z listków koniczyny, babki lancetowatej i wszelkich listków dostępnych w trawie i na krzakach plus kamyczki i zielone owoce – wyobraźnia nieograniczona.

Mama mojej sąsiadki Iwonki była krawcową, krawcową bardzo zajętą, wszystko miało być gotowe na wczoraj lub jeszcze wcześniej. Ale były takie chwile – rzadko, bo rzadko – kiedy pani Jedyńska miała przerwy krawieckie i wtedy z resztek materiałów szyła ubranka dla naszych lalek i to były cuda, absolutne cuda. Czekałyśmy na te nowości modowe, a później przebieraniu lalek nie było końca. Nawet dziś czuję te emocje.

Latem grałyśmy w klasy i w gumę. Gumę kupowałyśmy w pasmanterii na ulicy Powsińskiej, wcześniej była tam cukiernia. Do cukierni wchodziło się po schodkach w dół. W szklanych gablotach zachęcały swoim wyglądem serniki wiedeńskie pokrojone na kwadraty, eklerki, napoleonki, bezy moje ukochane i bajaderki – do dziś je ubóstwiam.

Gra w gumę była zdecydowanie zabawą grupową, potrzebne były co najmniej trzy osoby. Dwie trzymały gumę na nogach, trzecia skakała. Zaczynało się od kostek, potem guma lądowała na łydkach, kolanach aż do ud, no i skakałyśmy do skuchy. Skuchą było niewłaściwe zahaczenie gumy nogą. Mogłyśmy tak grać godzinami.

Grupy osób i piłki (a nie każdy ją miał) wymagała gra w zbijaka. Na ulicy Godebskiego mieszkały moje koleżanki z klasy, no i tam było największe prawdopodobieństwo, że ktoś będzie w coś grał i miał piłkę. Tak, dzieci bawiły się na ulicy, dosłownie na ulicy. Wtedy ulice na Sadybie były puste i bezpieczne.

Dorota Nowacka



Ulica Godebskiego miała dla mnie szczególne znaczenie – tu się urodziłam w kamienicy pod numerem 10. Później rodzice kupili dom na Jeziornej, ale często tam wracałam z mamą do byłych sąsiadek Renaty i Wandy. Lubiłam te wizyty. Pamiętam też ogrodzenie z cegieł przed kamienicą, które było częściowo zburzone, zdecydowanie w wyniku działań wojennych. Takich śladów przeszłości na Sadybie widziało się wiele. Dziury po kulach znajdowały się na elewacjach każdego dużego domu.

Drewniany kiosk Ruchu w kolorze szaro-niebieskim przy dzisiejszym skwerze Starszych Panów to był ważny punkt na mapie miejscowych atrakcji. Przy kiosku stawaliśmy, głównie wracając ze szkoły, a czasem idąc do niej, zwłaszcza kiedy trzeba było kupić nowy zeszyt. Po jednej stronie, na szklanych półkach, siedziały grzecznie szmaciane lub plastikowe lalki i stały tandetne wywrotki oraz inne cuda. Po drugiej stronie perfumy „Być może", mydło Nivea lub „For You", papierosy (sporty, płaskie, damskie, klubowe, mentolowe, zefiry, extra mocne, silesia, carmeny itp.), pasta do podłogi w butelce Buwi, pasta do butów Kiwi. Od frontu leżały gazety, pisma dla dzieci i dorosłych. „Miś", „Świerszczyk", „Płomyk", „Płomyczek". Czekaliśmy, kiedy będą nowe egzemplarze do kupienia, bo to, co było w środku, było zabawą co najmniej na jeden wieczór. Najbardziej lubiłam część z krzyżówką i innymi łamigłówkami, rebusami. „Zamaluj pola z kropką" to poruszało wszelkie zmysły, bo na koniec można było podziwiać to, co się wyłaniało – obrazek.

Pani, która pracowała w kiosku, mieszkała na ulicy Kuracyjnej i miała czarny lub granatowy (tego nie pamiętam) fartuch, podobny do tych, które nosiły dziewczynki w szkole. Zawsze miała otwartą dyżurną książkę, którą pochłaniała. Pani kioskarka prowadziła też teczki i nie były to teczki „na kogoś" tylko teczki „z". W teczkach znajdowały się wybrane tytuły pism i gazet, które zamawiali nasi rodzice. To dawało pewność, że „Kobieta i Życie" wyląduje na domowym stoliku.

Do sklepu spożywczego „Społem" przy skwerze Starszych Panów zaglądaliśmy codziennie, robiąc zakupy z kartki zostawionej rano przez mamę. Wpadaliśmy też po okrągłe lizaki z namalowanym kwiatkiem, po dropsy miętowe lub owocowe albo po torebkę oranżady w proszku. Ważna informacja – torebkę oranżady w proszku jadło się na dwa sposoby. Pierwszy: wysypywało się proszek na rękę i zlizywało, a drugi: wkładało się palec do torebki i też się zlizywało, ale z palca. Przy zmieszaniu ze śliną oranżadka musowała i to była ta atrakcja. Te specjały leżały przy kasie stojącej bliżej drzwi wyjściowo-wejściowych.

Sklep ten podzielony był na dwie części. Pierwszą, po lewej stronie od wejścia, stanowił dział mięsny, a drugą, po prawej stronie od wejścia, dział spożywczy. W dziale mięsnym w latach sześćdziesiątych wisiały na stalowych hakach pyszne wędliny (absolutny hit pt. kiełbasa szynkowa, nigdy później nie odnalazłam tego smaku) i mięso. W latach siedemdziesiątych było gorzej, haki bywały puste. W dziale spożywczym kupowało się okrągły chleb z chrupiącą skórką, kefir w butelce z zielonym kapslem, no i czekoladę z laskowymi orzechami, ach i jeszcze masa wybitnych cukierków, np. kukułki czy pimpusie. W lecie królowały lody na patyku „Bambino". Do obu działów wchodziło się przez dwuskrzydłowe, ruchome drzwi, które głośno skrzypiały. W zimie zakładano w drzwiach ciężkie, grube zasłony, u dołu zakończone sztuczną skórą. Wtedy często wchodziliśmy do sklepu w łyżwach, bo albo wracaliśmy z lodowiska, albo wybieraliśmy się w tamtą stronę.

Papiernik, sklep papierniczy na ulicy Okrężnej, był dla nas rajem. Prowadził go przemiły pan. Pamiętam tylko, że był bardzo szczupły, mieszkał na ulicy Godebskiego i miał dwie córki. Czasem zastępowała go żona, równie miła. Miała śliczne rude włosy i cudowne piegi. W papierniku po prawej stronie na półkach leżały kolorowe krepiny i kolorowe bibułki. Kredki, ołówki, długopisy, plastikowe maski karnawałowe, pióropusze, no i kartonowe lalki z ubrankami. Wycinało się lalkę i ubranka dla niej, a potem ubierało, przebierało. Wszystko cieszyło. Na końcu Okrężnej była mydlarnia. Moja pamięć zarejestrowała odurzający zapach w mydlarni i panią o blond włosach stojącą za ladą zawsze ładnie uczesaną. Na Okrężnej był jeszcze szklarz, magiel, fryzjer i sklep spożywczy.

Na ulicy Powsińskiej, oprócz wspomnianej wcześniej cukierni, była budka. Z jednej strony były w niej rurki z kremem i pączki, a z drugiej – warzywniak u Grzegorczyka, gdzie wymieniało się puste syfony na pełne. Bałam się pana Grzegorczyka, bo mówił mamie, że mnie zabierze. Rurki i pączki kosztowały 2 zł. W lecie budka zamieniała się w budkę z lodami i tak mówiliśmy, że „idziemy do budki z lodami". Kulka lodów kosztowała 1,20 zł. Dwie kulki dostawało się między dwoma kwadratowymi wafelkami, powyżej dwóch – w wafelkowym kubeczku. Ta pierwsza opcja była super, bo można było lizać lody ze wszystkich stron.

Na Powsińskiej 28 w pewnym momencie pojawiła się warzywna konkurencja – był to warzywniak u Pyzla. Wchodziło się po schodkach i po prawej stronie, w szklanej gablocie, kłuły w oczy balonowe gumy do żucia z Kaczorem Donaldem i kolorowe kulki, inny rodzaj gumy do żucia.

Na Powsińskiej, naprzeciwko kościoła Bernardynów, był ogródek jordanowski, przedwojenna koncepcja miejsc zabaw dla dzieci. Teren był ogrodzony, w środku stał drewniany, zielony domek, a wokół różne huśtawki, karuzele itp. Rzadko tam docierałam, bo według ówczesnych standardów odległości było to daleko.

Zimy na Sadybie pamiętam jako coś, na co się czekało z utęsknieniem. Jak tylko ilość śniegu była wystarczająca, wyciągaliśmy sanki i biegliśmy na górkę na plaży przy Jeziorku Czerniakowskim.

Nie było mowy, żeby kogoś tam nie spotkać. Zjeżdżaliśmy na sankach, zrzucaliśmy się z sanek, obrzucaliśmy się śniegiem, chłopcy nacierali śniegiem policzki dziewczynek i wszyscy doskonale się bawili. Mam przed oczami taki obrazek – górka, dzieci, sanki ciągnięte za sznurek do góry i zjeżdżające w dół, i tak non stop. Oczywiście na górce byli tylko rodzice z bardzo małymi dziećmi, reszta to samotne włóczykije.

Zimy były mroźne i śnieżne. Pamiętam, że z powodu gigantycznej ilości śniegu nie mogliśmy z Jeziornej dotrzeć do sklepu przy skwerku. Wtedy rodzice, sąsiedzi, dzieci wychodzili z łopatami i kopali w śniegu korytarz do sklepu. Nikt na nikogo się nie oglądał, nie czekał na interwencję służb, tylko robił swoje.

Największą zimową atrakcją było lodowisko przy szkole nr 103, tam gdzie teraz są korty. Lodowisko zawdzięczaliśmy małżeństwu Błażewiczów. Do dzisiaj mieszkają na Jodłowej przy szkole. Jak tylko przychodził mróz, rozpoczynało się wylewanie wody na przygotowany teren pod lodowisko. Śledziliśmy ten proces przez okna klasowe i mieliśmy w głowie plan, co po końcowym dzwonku będziemy robić. Jeżeli widzieliśmy, że jest szansa na lód, biegiem wracaliśmy ze szkoły, w domu lekcje były odrabiane z prędkością światła, szybkie jedzenie, strój na łyżwy, łyżwy na nogi i migiem po twardym śniegu na ulicy na lodowisko. Lodowisko było płatne, wstęp kosztował 2 zł, w budce przy furtce wejściowej dostawało się papierowy bilet.

W dużym budynku mieściła się przebieralnia dla tych, co mieszkali dalej i przychodzili z łyżwami wiszącymi na ramionach. Była tam też wypożyczalnia łyżew, a na górze można było kupić gorącą herbatę lub coś innego do picia i jedzenia. Za tym domem znajdowało się małe lodowisko dla maluchów, które rozpoczynały przygodę z łyżwami. Często była tam szkółka, którą prowadzili państwo Błażewiczowie. Na końcu, bliżej ulicy Zacisznej, było lodowisko dla grających w hokeja. Tam chłopaki z kijami hokejowymi rozgrywali swoje mecze. Ta część miała drewniane bandy. Jazda na lodowisku miała swój rytm, zgodnie z puszczaną przez głośniki muzyką. Po pewnym czasie następowała zmiana kierunku jazdy ogłaszana przez głośnik.

Były też zabawy, np. wąż. Wyglądało to tak, że kto chciał, trzymał się za ręce, zwykle to było kilka osób, i ten, kto był pierwszy, ciągnął resztę. Często kończyło się to tak, że ktoś puszczał rękę sąsiada i wąż się rozpadał lub ktoś się wywracał. Powodem przeważnie była zbyt duża prędkość narzucana przez prowadzącego. Było też podcinanie dziewczynek przez chłopców w ramach zalotów. Zawsze jednak ktoś pilnował porządku na lodowisku i przerywał zabawy, które nie zapewniały bezpieczeństwa. Na lodowisku traciliśmy poczucie czasu i często zapominaliśmy, że godzinę temu, a nawet dwie, mieliśmy być w domu. Nie był to rzadki przypadek, że przy ogrodzeniu stali rodzice i przywoływali swoje dzieci. Nawet po tylu latach z uśmiechem i wewnętrzną radością wspominam ten czas.

Mam przed oczami też inny obrazek, nasz zimowy szlak dom – szkoła. Przede wszystkim dzieci, z tornistrami na plecach i workami na kapcie, szły do szkoły same lub w grupach. Takie obrazki wydają mi się dzisiaj całkowitą prehistorią.



Monika Stępień z sąsiadką Elą Komorowską w ogrodzie na ul. Kuracyjnej, Warszawa, lata 60. XX w.

W okolicach godziny ósmej rano obecny skwer Starszych Panów, a za moich czasów skwer przy sklepie, zapełniał się szkolną dzieciarnią, która wychodziła z bocznych uliczek: Goraszewskiej, Jodłowej, Zakręt, Kąkolewskiej i przechodząc przez park, wchodziła w ulicę Jodłową, na wysokości domu państwa Magnuskich, i tam zaczynała się zabawa. Przy krawężniku na ulicy były zawsze zimą zamarznięte kałuże, niektóre bardzo długie i te cieszyły się ogromnym zainteresowaniem. Każdy chciał przelecieć przez nie jak najszybszym ślizgiem. Czekaliśmy w kolejce, aż osoba przed nami przejedzie ślizgawkę, po czym rozpędzaliśmy się, bo chodziło o dojechanie do samego końca. Nie było mowy, żeby którąś ominąć. Dodatkową atrakcją wśród chłopców było okładanie się po głowie workami z kapciami. I tak docieraliśmy do szkoły. Czasem wchodziliśmy szybciej do szatni, a czasem z opóźnieniem, zależało to od tego, czy przy wejściu były sprawdzane tarcze szkolne i worki z kapciami.

O szkole nr 103 mogę opowiadać w nieskończoność, bo bardzo ją lubiłam. Kiedy po raz pierwszy przekraczałam progi szkolne, dyrektorem był pan Bill. Mieszkał z tyłu budynku szkolnego, gdzie znajdowały się dwa mieszkania. Jedno dyrektorskie, w drugim mieszkała rodzina Chybów. Pan Chyb zajmował się wszystkim – ogrodem, boiskiem, naprawami, organizacją, porządkiem bardzo szeroko pojętym, nawet czasem sprawdzał tarcze przy wejściu. Był bardzo miły, oczywiście zwracał nam uwagę i nas strofował, gdy było to niezbędne. Zawsze uważałam ich za tych, co kochają to miejsce. Mieszkali tam do samego końca.

Następnym dyrektorem za moich czasów był nauczyciel historii Borowiec, mieszkaniec ulicy Koronowskiej. Ważne nazwisko związane z początkami szkoły nr 103 to Hardejewscy. Małżeństwo Hardejewskich prowadziło bibliotekę i czytelnię szkolną. Pilnowali, żeby książki wypożyczone były zwracane w terminie, uczyli nas szacunku do słowa pisanego, organizowali grupowe i indywidualne okładanie książek w szary papier. Pamiętam też

dyżury w bibliotece. Polegały one na układaniu zwróconych książek na właściwe półki, czasem porządkowaniu katalogów. Państwo Hardejewscy mieszkali na ulicy Rabczańskiej.

Moja szkoła nr 103 to bardzo częste akademie okolicznościowe, które odbywały się w sali gimnastycznej. Tylko nielicznym udawało się znaleźć miejsce siedzące na niskich drewnianych ławeczkach z wyposażenia sali gimnastycznej, reszta przestępując z nogi na nogę, musiała wystać do końca. Czujny wzrok pani Żerek, słynnej nauczycielki geografii, pilnował, żebyśmy się zbytnio nie kręcili i nie gadali. O ile dobrze pamiętam, to te uroczystości nie były krótkie, przemówienie dyrektora, inne przemówienia, no i część artystyczna – chór pod batutą pani Baki grającej na akordeonie i liczne recytacje głównie poezji Władysława Broniewskiego. Wiersz *Bagnet na broń* to był zdecydowany szlagier akademii szkolnych. Poza tym pieśń „Spoza gór i rzek wyszliśmy na brzeg" [*Marsz Pierwszego Korpusu* – przyp. red.], no i „Wyklęty powstań ludu ziemi", czyli *Międzynarodówka*. Pamiętam też, że przygotowania i próby do tych uroczystości trwały wieki.

Zanim dostąpiliśmy zaszczytu brania udziału w tych niezapomnianych chwilach, musieliśmy wyprodukować okolicznościowe gazetki. Starałam się zgłaszać do tych grupowych prac. Zawsze robiliśmy to w kilka osób, bo była to okazja do wykazania się kreatywnością, stworzenia czegoś kolorowego i bycia z koleżankami. Gazetki wisiały później na tablicach na korytarzach.

Korytarze szkolne to też cała historia. Przepychanki, gonitwy, dziewczynki ciągnięte za włosy, gry, czytanie książek na parapecie, szybkie nadrabianie zaległości w sprawie prac domowych. Hitem



Rodzina Stępniów przed domem na ul. Jeziornej, Warszawa, lata 60. XX w.

była gra w gumę, o której już pisałam, tiki-tiki, ciupy, czyli podrzucanie i łapanie pięciu kamieni lub haceli, no i oczywiście skakanka i hula-hoop. Korytarz to też stolik i siedząca przy nim w czasie przerw pani Morawska, nauczycielka matematyki. Pani Morawska prowadziła SKO (Szkolną Kasę Oszczędności) i przy tym stoliku dokonywaliśmy głównie wpłat do naszego minibanku.

Nauczyciele. Pan Wolski, czyli pan od WF-u, był wymagający i dowcipny. Prawie było niemożliwe wyłganie się od ćwiczeń i może dobrze, bo jesteśmy pokoleniem w miarę sprawnym. Dzieci otyłe w tamtych czasach to była rzadkość.

Pani Baradziej – biologia i Pani Grudzińska – chemia. Przyjaźniły się, wracały do domu razem. Pani Baradziej mieszkała na Zdrojowej, pani Grudzińska chyba na Okrężnej. Jedna była blondynką, druga cudnie ruda. Pani Baradziej była uśmiechnięta i dowcipna. Były, jak na tamte czasy, bardzo dobrze ubrane i zawsze dobrze uczesane. Na lekcjach chemii robiliśmy często przeróżne doświadczenia i to było fajne. Z panią Baradziej często mieliśmy lekcje w terenie, pokazywała nam, co rośnie wokół jeziora, hodowaliśmy fasolkę na gazie w słoiku, oglądaliśmy wszystko, co się dało pod mikroskopem, rysowaliśmy pantofelka.

Pani Żerek, nauczycielka geografii, miała na nas swoje sposoby. Recytowaliśmy, obudzeni w środku nocy, wszystkie dopływy Wisły i Odry po kolei, rzeki ZSRR też po kolei, państwa z ich stolicami: Katar – Doha, takie zbitki w naszych głowach pozostały na całe życie. Klasówki z układania karteczek to znak rozpoznawczy działań pedagogicznych pani Żerek. Polegało to na tym, że siadaliśmy na podłodze na korytarzu i układaliśmy dokładnie wymieszane karteczki, na których były napisane państwa i ich stolice. Mieliśmy na dopasowanie karteczek określony czas, potem pani Żerek podchodziła do każdego z nas i jednym spojrzeniem wychwytywała nasze niedostatki w wiedzy.

Pani Głuchowska, moja ukochana pani od polskiego, mieszkała na Morszyńskiej 27 w domu z 1930 roku, w którym przed wojną mieszkał sanacyjny generał i minister spraw wojskowych – Tadeusz Kasprzycki. Często przychodziłam tam z koleżankami, przynosząc dodatkowe wypracowania, które pisałyśmy, bo chciałyśmy pisać. To jej zawdzięczamy odwagę w przelewaniu myśli na papier.

Pani Koczkodaj uczyła nas biologii po odejściu pani Baradziej, mieszkała na ulicy Koronowskiej. Urocza, zawsze uśmiechnięta, chodzący spokój, głupio było ją zawieść i czegoś nie zrobić. Przychodziła na skwer Starszych Panów w święto Sadyby. Niestety odeszła parę lat temu.

Tych ważnych osób ze „Stotrójki" było wiele i to temat na osobną pisaninę.

Szkoła nauczyła mnie czerpać przyjemność z robienia czegoś razem, w grupie, bez nadmiernej rywalizacji, ale z szacunkiem dla ludzi, którzy tworzyli to miejsce.



Nina Nowak

Lunia Bonder

ul. Kołobrzeska

Moje pierwsze wspomnienia z wczesnych lat dzieciństwa to poczucie nieograniczonej przestrzeni, wolności i błękitnego nieba nad głową. Radość, okrzyki radości, gdy tylko mama pozwoliła mnie i starszej siostrze „wyjść za furtkę pobiegać" – bo tak się kiedyś mówiło: „Mamo, możemy wyjść pobiegać?".

Na naszej ulicy mieszkało sporo dzieciaków, więc było się z kim bawić i poznawać okolicę.

A pomysłów mieliśmy bez liku. Nigdy się nie nudziliśmy – pamiętacie zabawę w Króla Lula? a w „Raz, dwa, trzy Baba Jaga patrzy"? w Indian, w „Czterech pancernych", w chowanego, dom, państwa (czyli „wywołuję wojnę przeciwko-piwko!"), w chłopka? Do tego skakanka, trzepak w każdym ogrodzie. Robiliśmy też tzw. sekrety – czyli swego rodzaju widoczki ułożone z kwiatków, ziół, liści i przykryte kawałkiem szybki, później przysypywane ziemią i na nowo odszukiwane. W niezliczonych górach piasku leżących przed większością domów (wiele osób jeszcze remontowało swoje domy) szukaliśmy ciekawych kamieni i budowaliśmy tunele, żeby spotkały się nasze ręce wyciągnięte z jednej i drugiej strony.

Wyprawa na łąki – czyli dzikie pola prowadzące aż do Siekierek – to była prawdziwa podróż. Trzeba było przebrnąć nasyp torów tramwajowych



Lunia Sitkiewicz z siostrą Małgosią i rodzicami Marią i Henrykiem w ogrodzie na Sadybie, Warszawa, 1968 r.

prowadzących do Wilanowa i jezdnię ulicy Powsińskiej ułożoną z kocich łbów. Na rogu ulic Augustówki i Powsińskiej stał stary, przedwojenny dom z czerwonej cegły, w którym mieszkała jedna z naszych koleżanek i jej dwaj bracia, obok w nowszym domu kolejna dziewczynka – nasi stali współuczestnicy zabaw. Łąki dawały nam zajęcie w każdej porze roku – wiosną chodziliśmy obowiązkowo zbierać kaczeńce, latem czy jesienią zbieraliśmy chrust, rozpalaliśmy ognisko i piekliśmy kartofle (niezapomniane wspomnienie – zapach dymu, smak zwęglonej skórki...), a zimą zjeżdżaliśmy na sankach z tzw. górki św. Jana – nazwanej tak od figury św. Jana Nepomucena, która stoi do dziś przy gmachu TVN. Za tym pomniczkiem roztaczała się kraina nieznana, nawet zakazana, nieskończona, niedostępna, którą poznałam dopiero kilka lat później, gdy troszkę dorosłam.

Byłam najmłodsza z całej grupy dzieciaków, więc zawsze biegłam za całą zgrają z tyłu. Pamiętam, że byłam za mała, żeby przeskoczyć strumyk płynący przez łąki, i kiedyś wpadłam w ten strumyk w nowych pepegach i w grząskim dnie uwiązł mi jeden z butów. Mama była bardzo niezadowolona...

Chodziliśmy też nad Jeziorko Czerniakowskie. Pamiętam, jak w jeziorku ktoś przednimi kołami zaparkował starą, garbatą warszawę i mył samochód; pamiętam też liście kapusty pływające po wodzie – kobiety myły w jeziorku warzywa... Nad jeziorko chodziło się też plażować, pływać łódką, oglądać skoki z mostu do wody w dniu św. Jana



Lunia Sitkiewicz z siostrą Małgosią
w ogrodzie na Sadybie, Warszawa, 1968 r.

lub popatrzeć na pokaz fajerwerków w noc świętojańską.

Obok, przy ulicach Jeziornej i Zakręt, stała drewniana budka z piwem, w której zbierał się kwiat okolicznych degustatorów chmielowego trunku. Co tam się działo! W środku trwała w najlepsze libacja, a pod budą zdenerwowane żony co poniektórych delikwentów krzyczały wniebogłosy, żeby mężowie wracali do domów. Wkrótce bar spłonął. Przypuszczam, że wiele pań się z tego powodu ucieszyło. Zgliszcza stały jeszcze jakiś czas. Później grupki pijaków zbierały się na rogu Okrężnej i Powsińskiej – pewnie z uwagi na bliskość sklepu Pyzla, często pod spożywczakiem na rogu Zielonej

czy na małej pętli sadybiańskiego tramwaju nr 36. Zawsze te same, coraz bardziej czerwone twarze.

Na naszej ulicy stoi szereg domków ułożonych z kamienia – wszyscy się kiedyś znali, odwiedzali, zapraszali i pomagali sobie nawzajem. Pamiętam wszystkich mieszkańców.



Lunia Sitkiewicz,
Warszawa, 1972 r.

Gdy poszłam do szkoły nr 115 poznałam mnóstwo dzieciaków z okolicy; później do naszych klas doszli nowi koledzy ze Stegien – z wysokich bloków z windami. Ach, co to była za atrakcja pojeździć windami zaraz po szkole. Można się było zatracić w zabawie i spędzić tam wiele godzin.

W wakacje dzieciaki z okolicy zbierały się w klubie TKKF[1] „Sadybianka" na tzw. półkolonie, które prowadził niezapomniany pan Stefan, zwany Instruktoro. Wspaniale organizował nam czas w klubie – nie tylko latem. Zabierał nas na baseny „Warszawianki", gdzie za 1 zł kupowaliśmy bilet i spędzaliśmy tam pół dnia. Niewiele z nas potrafiło pływać, ale nikt się tym nie przejmował, ani my, ani nasi rodzice. Ja nauczyłam się tam pływać i wyprawy na dawne, odkryte baseny „Warszawianki" wspominam cudownie. Po basenie obowiązkowo jechało się tramwajem na lody do Zielonej Budki i do tzw. papiernika po pachnące chińskie gumki do ścierania czy flamastry, na które można było tam od czasu do czasu trafić.

Zimą pan Stefan sam, własnoręcznie organizował nam lodowisko i sam z wężem w ręku lał wodę na wcześniej przygotowany teren. Tam też nauczyłam się jeździć na łyżwach. Była wypożyczalnia sprzętu, nagłośnienie, muzyka. Na „Sadybiance" odbywały się kilka razy do roku dyskoteki, na które wybierałyśmy się z koleżankami bardzo chętnie. Była to

[1] Towarzystwo Krzewienia Kultury Fizycznej



Lunia Sitkiewicz w ogrodzie na Sadybie,
Warszawa, 1968 r.

atrakcja i możliwość poznania chłopców z nowych osiedli na Sadybie, Stegnach, bliskim Wilanowie.

Wszystkie moje najdawniejsze wspomnienia związane są z Sadybą, bo tu się wychowałam i mieszkam w domu rodzinnym do dziś. Czuję specjalną więź z tą częścią miasta. Znam tu każdy kamień i pamiętam wiele twarzy, zdarzeń. Nieraz kątem oka zauważę coś, co ożywia wspomnienia.

Sadyba się zmienia i ewoluuje, ale nie straciła swojego czaru, spokoju, romantyzmu. To moje miejsce na ziemi, ważne, żywe, wielopokoleniowe. Myślę, że moje dzieci, które wychowały się tutaj, zawsze będą wspominać i dom rodzinny, i naszą Sadybę.

Paweł Rubaszewski

ul. św. Bonifacego

Sadyba – miejsce mojego dzieciństwa, miejsce, gdzie po raz pierwszy zobaczyłem świat, choć ograniczał się on tylko do zielonych listków drzewa rosnącego nad domowym tarasem. Listki dzwoniły i śmiały się do mnie na wietrze, śmiałem się więc i ja. Od tego czasu śmiałem się ciągle, co dobrze rozumiała pani Marysia, która czasem opiekowała się moim bratem i mną. Wczołgiwała się pod moje łóżeczko, a gdy rodzice wracali, konspiracyjnie kładła palec na ustach i szeptała: „Ciii, jak się Pawełek obudzi, to ja mu powiem: a kuku”.

Sadyba to właściwie była wieś. Od nas, z Bonifacego, był przysłowiowy rzut beretem do Bernardyńskiej, gdzie Tato z dumą ojca dbającego o zdrowie swoich dziatek maszerował po świeże mleko. Ba, jeszcze na początku lat dziewięćdziesiątych na trawnikach naszej ulicy czasem pasły się krowy.

Zieleni było sporo, choć nie tyle co teraz, raczej drzewka owocowe, krzewy i masa kwiatów w ogródkach. Kiedy padał deszcz, ulice spływały wodą, wypłukiwały ziemię i kamyczki, a poruszanie się po ulicach Sadyby polegało wtedy na stawianiu większych lub mniejszych susów. Dla mnie widok kałuż stojących pod domem obiecywał fontanny uruchamiane w rytm skoków.

Mieszkanie na końcu ulicy miało swój wielki urok. To tu kończyły się grzecznie stojące w rzędzie domy, a w stronę jeziorka zaczynały się zwały gruzu ozdobione niespodziewanymi śmieciami. Niczym legendarni poszukiwacze złota przemierzaliśmy z kolegami hałdy w poszukiwaniu skarbów, które nierzadko ciężko było nawet przytargać do domu.

Szkoła stała przy Jeziornej i uczyć się było tam bardzo, ale to bardzo trudno. Z jednej strony dochodził kuszący dźwięk uderzanych piłeczek tenisowych, a z drugiej jeziorko swoim szumem przypominało o wakacjach. No i jak można było skupić się na lekcji? Powroty ze szkoły natomiast obfitowały w same przyjemności. Oczywiście krótkie gry, czy to w kapsle, czy pikuty, czasem piłka między bramkami z tornistrów, ale to nie one były najważniejsze. Na rogu ulic Goraszewskiej i Kąkolewskiej znajdował się kiosk, rzadko czynny, bo zwykle dopiero co po raz kolejny okradziony. Aż wreszcie sklep spożywczy, a w nim... oranżada w proszku, najpierw trzeba było odpowiednio przechylić głowę i odbyć misterium wsypywania jej do buzi, gdzie cudowny proszek sam się rozpuszczał.

Szkoła jak szkoła, ale boisko szkolne było bardzo przydatne, godzinami graliśmy tam w piłkę, czasem tylko przenosząc grę nad jeziorko w pobliże ulicy Zakręt albo w centralne miejsce naszej

Sadyby, czyli na skwerek, któremu dziś patronują „Starsi Panowie, starsi Panowie dwaj”. Na korty spoglądałem ze szkolnego okna łakomie, ale nie śmiałem nigdy tych moich nieśmiałych marzeń przekuć w czyn. Dopiero z początkiem lat siedemdziesiątych dostałem od rodziców rakietę, ale nasz tenis odbywał się na korcie powstałym na naszej wyasfaltowanej już wówczas ulicy, gdzie siatką był sznurek rozciągnięty miedzy dwoma rowerami. Czasem tylko trzeba było umożliwić przejazd prawowitym użytkownikom drogi. Z czasem ruch wzmógł się na tyle, że trzeba było przenieść kort na Koronowską w okolicy Juraty. Tam pobrałem pierwszą lekcję, która okazała się jednak lekcją w pewnym sensie nietrafioną. Mianowicie życzliwy przechodzień obserwujący naszą grę zatrzymał się i pokazał mi prawidłowe uderzenie, kładąc nacisk na sztywny nadgarstek i prostą rękę. „Rakieta to nie szabelka” – powiedział, jako że faktycznie wywijałem nią jak szabelką. Minęły lata, zacząłem grać na prawdziwych kortach i z czasem okazało się, że w wywijaniu szabelką miałem sporo racji.

Nie można wspominać Sadyby z lat dziecinnych, pomijając osoby, które przed laty były tu znane, szanowane i można powiedzieć, że nawet kochane, choć każdy te przymiotniki przypisze zapewne różnym osobom. Na Koronowskiej mieszkała pani doktor Suszyńska-Kwasowiec, która z oddaniem leczyła okoliczne dzieci, niezwykle uczynna, biegła do małych pacjentów o każdej porze dnia i nocy. Cechowała ją niespotykana życzliwość i pogoda



Tomek Rubaszewski na ul. św. Bonifacego, w tle kiosk warzywny, Warszawa, lata 60. XX w.



Widok na ul. św. Bonifacego w kierunku ul. Gołkowskiej, Warszawa, 1981 r.

ducha, jak przez mgłę pamiętam tylko, że z rzadka smutniała, wspominając łagry, skąd szczęśliwie udało jej się wrócić. Otwarcie pani doktor na potrzeby okolicznych dzieciaczków sięgało tak daleko, że mali pacjenci biegali do niej również po pomoc w nauce rosyjskiego. Nasza kochana pani doktor odeszła w 1990 roku, mając 95 lat. Pochowana została na naszym sadybiańskim cmentarzu przy ulicy Powsińskiej. Drugą ważną osobą była nauczycielka angielskiego, pani Burgielska, która przetrwała na długo w pamięci nie tyle mojej, co mojego brata, przez długi czas wspominającego ją przy byle okazji. Już wtedy, w latach sześćdziesiątych, była starszą panią, osobą bardzo ciepłą i opiekuńczą. Dodajmy, że znana była nie tylko na Sadybie, również na szerzej rozumianym Dolnym Mokotowie, gdzie także jest serdecznie wspominana przez swoich siwych dziś uczniów.

Długo mógłbym jeszcze tak opowiadać: i o szafie, w której chowaliśmy się przed nauczycielem angielskiego; i o firmie Glanc-poler, którą założyliśmy wyposażeni w wodę i ścierki, mając tak po dziesięć może lat, a która splajtowała, bo umył w niej samochód tylko jeden klient; i o pani odwiedzającej Sadybę w celach handlowych i rytmicznym zaśpiewem ogłaszającej swoje przybycie „Jagody, jagody, jagody...”; wreszcie również o wagarach spędzanych w garażu, gdzie urządziliśmy ciemnię fotograficzną. Mieliśmy bezpieczny świat, gdzie czekały na nas mniejsze i większe przygody, zabawy, gangi szkolne, przyjaźnie na całe życie i wanna z ciepłą wodą każdego wieczora. Minęło kilkadziesiąt lat, a ja pamiętam tamtą Sadybę jako gigantyczny plac zabaw, taką prawdziwą krainę dzieciństwa.

Wysłuchała i spisała Ewa Rubaszewska.



Tomek Rubaszewski z bratem ciotecznym na ul. św. Bonifacego, Warszawa, lata 60. XX w.



Kasia Jaczyńska

Katarzyna Barczyńska

ul. św. Bonifacego

Kiedy byłam mała, większość dzieci na wakacje i święta jeździła na wieś do dziadków. Ja jeździłam na Sadybę do wujostwa.

Romans naszej rodziny z Sadybą zaczął się w 1965 roku, kiedy to ciocia i wujek – wówczas młodziutka jeszcze para naukowców – wprowadzili się do segmentu przy ulicy Bonifacego. To wtedy, mając niespełna trzy lata, zapałałam bezkrytyczną miłością do tego miejsca i uczucie to płonie gorącym ogniem aż do dziś. Tu przeżyłam najszczęśliwsze chwile swojego dzieciństwa, tu pierwsze kroki stawiał mój syn i tu chciałabym się zestarzeć.

Mieszkaliśmy z rodzicami na Górnym Mokotowie i – choć od ulicy Świętego Bonifacego dzieliło nas zaledwie sześć kilometrów – Sadyba wydawała się miejscem z zupełnie innej planety. Koło naszego mokotowskiego domu jeździły autobusy i tramwaje, a chodniki pełne były przechodniów. Rano na ulicy tłoczno było od studentów biegnących na zajęcia do mieszczących się tuż obok uczelni SGGW[2] i SGPiS[3]. To był głośny, pędzący świat dorosłych.

Na Sadybie natomiast panował błogi spokój. Uliczki były ciche i pustawe. Latem w słońcu wylegiwały się na nich koty. Na schodach domku przy Bonifacego witały mnie kolejno: Kinia, Czarna, Dyzio, Tymoteusz, Tabi, Sonia i Bella. Wiosną nigdzie tak pięknie nie kwitły magnolie jak na ulicy Kuracyjnej, a bzy najwspanialej pachniały w naszym ogródku. W maju krzaki bzu kwitły tak obficie, że zupełnie przesłaniały widok z kuchennego okna i o zmierzchu trzeba było wspiąć się na pierwsze piętro, do sypialni cioci, by popatrzeć na latarnika zapalającego co wieczór gazowe latarnie na ulicy Kąkolewskiej. Święta Bożego Narodzenia na Sadybie zawsze były białe i mroźne, a skwerek (wtedy jeszcze nie imienia Starszych Panów) wyglądał zimową porą wyjątkowo magicznie.

Oczywiście codzienne życie w tej mojej arkadii miało też inny, mniej poetycki wymiar. Przypomina o nim moja dziewięćdziesięcioletnia dziś ciocia, Anna Michałowska-Smak, zwana Hanią:

Uliczki starej Sadyby były pokryte zwykłym brukiem i dopiero w latach siedemdziesiątych niektóre z nich doczekały się asfaltu. Do mieszkańców należał zimą obowiązek sprzątania śniegu przy dojściach do domów oraz jezdni. Zimą też wozacy rozwozili węgiel i koks, które służyły do opalania pieców i domowych kotłowni. Dopiero w latach siedemdziesiątych umożliwiono mieszkańcom podłączenie do centralnej sieci ciepłowniczej zasilanej przez Elektrociepłownię Siekierki. Niestety, zlikwidowano też

[2] Szkoła Główna Gospodarstwa Wiejskiego
[3] Szkoła Główna Planowania i Statystki (obecnie SGH), mieszcząca się na rogu al. Niepodległości i ul. Rakowieckiej.

wtedy linię tramwajową łączącą centrum Warszawy z Wilanowem. Na pograniczu Sadyby powstało w tym czasie osiedle wysokich domów wzdłuż ulicy Gołkowskiej; pojawił się tam autobus i kilka małych sklepów. Prawdziwa „cywilizacja" nastała dopiero na początku lat dziewięćdziesiątych, kiedy to doprowadzono kanalizację i zlikwidowano przydomowe szamba.

Wspomnienie cioci o szambie sprowadziło mnie na ziemię. Pod koniec lat osiemdziesiątych mieszkaliśmy na Bonifacego, korzystając z faktu, że wujostwo wyjechali na dłużej do Kalifornii. Nasz syn miał wtedy niewiele ponad rok, a że była to epoka pieluch tetrowych (paczka pampersów kosztowała w Peweksie 50% średniej krajowej i była towarem bardzo luksusowym), woda płynęła u nas wartkim strumieniem. Oznaczało to, że kontakt z panem od opróżniania szamba, zwanym przez nas szambistą, musiał być nader częsty. A w PRL-u nawet o wywóz szamba trzeba było walczyć. Spędzałam więc sporo czasu, wyglądając przez okno i czyhając na upragniony beczkowóz. Pewnie dlatego jednym z pierwszych zdań naszego syna było triumfalne: „Jedzie pan szambista!!!".

Centralnym punktem Sadyby w świecie mego dzieciństwa był skwerek i stojący przy nim sklep, w którym można było kupić oranżadę w proszku i lody „Bambino" za 2,60 zł. Ostatnio ktoś przypomniał mi, że w tym samym budynku mieścił się



Widok w stronę ul. Kąkolewskiej,
Warszawa, lata 70. XX w.



Widok na ulicę św. Bonifacego,
Warszawa, lata 70. XX w.

również sklep mięsny. W PRL-u najczęściej bez towaru, z przerażającymi, pustymi hakami.

Z tym budynkiem łączy się ważne dla mnie wspomnienie z bardzo niedalekiej przeszłości, a mianowicie pierwsza wizyta w świeżo otwartym lokalu Nabo. Było zimowe popołudnie. Weszliśmy do przytulnego wnętrza, ucieszyliśmy się, widząc, że nowi najemcy zachowali starą posadzkę z dawnego sklepu spożywczego i zamówiliśmy zimową herbatę.
– Dobra jest? – spytała dziewczyna siedząca obok przy komputerze.
– Pyszna! – odpowiedziałam zgodnie z prawdą.
– Super! W takim razie wrzucam ją na stronę!
I tak poznałam Ulę Eriksen, założycielkę restauracji, która stała się na lata sercem Sadyby. Teraz Ula mieszka daleko, za morzem... Natura jednak nie znosi pustki, więc mamy w miejsce Nabo – Szklarnię. Mamy też La Môme – nasz „kawałek Francji na Sadybie" i wspomnienie po kawiarni, w której można było zamówić najpiękniejsze na świecie torty, wyczarowywane przez Lunię Bonder.

Wspominam Ulę i Lunię, ponieważ wyjątkowy charakter i klimat Sadyby tworzyli i tworzą jej mieszkańcy. Tak było przed wojną, tak było za komuny i tak jest teraz. Wiele się pisze i mówi o znanych mieszkańcach dzielnicy: twórcach, naukowcach, lekarzach, członkach znanych, historycznych rodów. W segmentach obok nas mieszkali między innymi wybitny kompozytor i krytyk muzyczny Piotr Rytel oraz żołnierz Armii Krajowej, legenda



Kasia Furman z ciocią Hanią
Michałowską-Smak w ogrodzie na Sadybie,
Warszawa, lata 60. XX w.



Pierwsze prace ogrodnicze w ogródku
przy ul. św. Bonifacego,
Warszawa, lata 60. XX w.

Powstania Warszawskiego i bohater działalności konspiracyjnej w okresie powojennym – Jerzy Sienkiewicz[4] (pseudonim „Rudy”).

Ciocia wspomina, że „dawni mieszkańcy byli na ogół ze sobą zaprzyjaźnieni, a życie sąsiedzkie ułatwiało pokonywanie codziennych trudności, co było szczególnie ważne w czasie stanu wojennego”. Pamiętam z tego okresu tajemniczych, bezimiennych gości. U nas ukrywał się dość długo uroczy pan, który znikał na całe dnie, by pojawić się tuż przed godziną policyjną. Dopiero po latach dowiedziałam się, że był to Józef Teliga, zasłużony działacz opozycyjny, były kapitan AK.

W latach dziewięćdziesiątych Sadyba zaczęła się coraz szybciej zmieniać. Niektóre domy przeistaczały się w eleganckie rezydencje, inne popadały w ruinę. Na tle bogacącej się Sadyby ubóstwo tych najbardziej potrzebujących było jeszcze bardziej widoczne i bolesne. Dużo się o tym mówiło u nas w domu, ponieważ ciocia, oprócz pracy naukowej, działała przez szereg lat społecznie, jako opiekun terenowy. Historię jednej ze swych licznych podopiecznych opisała we wspomnieniu pt. „Halinka”.

„Niestety, z biegiem lat ubywało dawnych sąsiadów, przybywali nowi i codzienność Sadyby zmieniła się na bardziej miejską” – mówiąc o tamtych czasach, zauważa ze smutkiem ciocia Hania i komentuje: „Otoczenie się zmienia, zmienia się styl życia i tylko jeden dzień jest od wielu lat taki sam: nad cmentarzem u zbiegu Bonifacego i Powsińskiej unosi się wielka łuna od świateł, zapalanych tradycyjnie na grobach dawnych mieszkańców Sadyby”. Pamięć o nich, o świecie, w którym żyli, to nasza wspólna historia.



Jeziorko Czerniakowskie, Warszawa, lata 70. XX w.

[4] Informacje za: https://www.1944.pl/powstancze-biogramy/jerzy-sienkiewicz.39984.html (dostęp: 29.05.2023).

Marcelina Frączek



Anna Michałowska-Smak

Halinka

W jednym z numerów „Życia Warszawy” (chyba pod koniec lat siedemdziesiątych) ukazał się krótki felieton Marka Nowakowoskiego, autora reportaży i opowieści o ludziach z tak zwanego marginesu społecznego, opisujący dziwną kobietę, często widywaną na ulicach Warszawy. Wzbudzała ona zaciekawienie swoim wyglądem, ubraniem i zachowaniem. Niewysoka, szczupła, ubrana zawsze w zakrywający ją dokładnie niebieski fartuch i nigdy niepokazująca twarzy ukrytej za szerokim bandażem. Chodziła po ulicach, niezależnie od pory roku tak samo ubrana, jeździła tramwajami i autobusami. Często bywała zaczepiana i wyśmiewana przez ludzi i wtedy stawała się niegrzeczna i agresywna – broniła się krzykiem i przekleństwami. Pan Marek Nowakowski był nią zaciekawiony i prosił o informacje na jej temat. Po przeczytaniu artykułu zadzwoniłam do redakcji gazety i w ten sposób nawiązałam kontakt z panem Nowakowskim. Przekazałam mu swoją wiedzę o tej dziwnej kobiecie.

Halinkę poznałam kilka lat wcześniej, pracując jako terenowy opiekun społeczny na Sadybie. W tamtych czasach Dzielnicowe Ośrodki Opieki Społecznej korzystały z pomocy osób chętnych do zajmowania się podopiecznymi ośrodka i znających ludzi w swoim sąsiedztwie. Nie będę tu opisywać szczegółów codziennej pracy opiekuna społecznego, ale dawała ona możność poznania i pomagania różnym osobom mającym trudną sytuację finansową, a często również zdrowotną i rodzinną. Każdy z nas – opiekunów – był pośrednikiem między podopiecznymi i ośrodkiem, który świadczył pomoc finansową i rzeczową.

Wśród wielu osób, którymi zajmowałam się w ciągu 17 lat pracy, najbliższy i nieomal codzienny kontakt miałam z Halinką. Mieszkała blisko mnie i poza spotkaniami w ramach cotygodniowych dyżurów w ośrodku zdrowia bardzo często potrzebowała pomocy w życiu codziennym. Od kilku lat, po śmierci matki, była sama, zdana na własne siły. Jej mieszkaniem była jedna izba w starym czynszowym domu, bez jakichkolwiek wygód. W tamtych czasach było dużo takich zaniedbanych domów pod zarządem władz komunalnych. Halinka miała dostęp do wody i do toalety na zewnątrz domu, a do ogrzewania służył jej żelazny piecyk, tzw. koza. Po śmierci matki została bez środków do życia i jedynym źródłem utrzymania był stały zasiłek w wysokości 270 złotych i doraźna pomoc – raz w roku załatwiałam jej dostawę węgla i trochę pieniędzy na tzw. dożywianie.

Ogromnym problemem i główną przeszkodą w poprawie jej sytuacji była niewątpliwie choroba psychiczna. Moja koleżanka, która zajmowała się Halinką przede mną, znała jej matkę i od niej wiedziała, że była to prawdopodobnie schizofrenia.



Marta i Klaudia Kudła

Nie było wiadomo, dlaczego nie była leczona, mimo że pochodziła z normalnego domu. Halinka powiedziała mi kiedyś, że jako dziewczynka uczyła się muzyki. Nie wiem, jakie były koleje losu jej rodziny i co spowodowało nędzę, w jakiej żyła. Usiłowałam namówić ją na kontakt z lekarzem, co ułatwiłoby otrzymanie renty inwalidzkiej. Nic z tego nie wyszło. Gdy raz namówiłam panią doktor psychiatrę do odwiedzenia i przebadania Halinki w domu, urządziła ona taką awanturę, że lekarka uciekła w popłochu.

Marek Nowakowski pytał mnie o przyczynę ukrywania przez nią twarzy. Ludzie snuli różne opowieści. A to, że porzucił ją ukochany i dlatego nie chciała nikomu się pokazywać. Inna wersja – że miała szramy po okaleczeniach twarzy. Z wielkim trudem udało mi się zdobyć zaufanie Halinki i przy naszych osobistych kontaktach zdejmowała bandaże. Miała ładną, delikatną twarz, śliczną jasną cerę, i gdy się uśmiechała (co było bardzo rzadkie, ale tym bardziej cenne), była naprawdę uroczą starszą osobą. Wiem, że bała się zarazków i kurzu, a jednocześnie chorobliwie chroniła się przed wzrokiem obcych ludzi, którym nie ufała i od których doznawała wielu przykrości. To wszystko opowiedziałam panu Nowakowskiemu, ale nie wiem, czy zaspokoiłam jego zainteresowanie i ciekawość.

A co było dalej? Przeszło jeszcze wiele lat naszej bliskości. Halinka przychodziła do mnie z różnymi kłopotami. A to trzeba było nawlec igłę, bo właśnie musiała pocerować ubranie, a innym razem zmienić przepaloną żarówkę. Raz ubawiła mnie szczególnie. W tych latach wśród wielu produktów, które były na kartki, znalazło się również mydło. Dokładnie pamiętam, że można było kupić dwa mydła na kwartał. Halinka zużywała dużo mydła, gdyż codziennie prała swoje bandaże i dbała o higienę. Dokonywałyśmy z koleżankami cudów, aby zdobywać dla niej ten trudno dostępny produkt. Pewnego razu Halinka przyszła do mnie bardzo zdenerwowana i powiedziała: „Nie mam się czym umyć i niech pani powie, czy to jest normalne, że nie można kupić mydła!". I pomyśleć, że ta chora kobieta ujęła w słowa to, co nas wtedy otaczało. Nie – to nie było normalne, jak zresztą jeszcze wiele innych rzeczy. Gdy to wspominam, nie mogę pojąć, że teraz tak zwani normalni ludzie tego nie pamiętają i dobrze wspominają tamte czasy.

Z biegiem lat Halinka była coraz słabsza, ale nie dawała zaprowadzić się do lekarza. Nie chciała też przyjmować żadnych leków ani cieplejszego ubrania. Jedynym ustępstwem z jej strony było przyjęcie ode mnie ciepłego swetra, gdy powiedziałam, że sama go dla niej zrobiłam. Pewnego zimnego dnia, nie widząc jej od kilku dni, usiłowałam dostać się do jej mieszkania. Długo nie chciała otworzyć drzwi, ale wreszcie uległa moim błaganiom. Leżała na podłodze, brudna i w nieczystościach, było oczywiste, że jest bardzo chora. Wezwałam pogotowie, ale nie zgodziła się na pójście do szpitala. Gdy pacjent nie wyraża zgody, a wzywający nie jest rodziną i nie ma pełnomocnictwa, lekarze nie mogą go zabrać siłą. Po kilku godzinach, gdy stan Halinki był coraz gorszy, wezwałam pogotowie po raz drugi – tym razem psychiatryczne. I znowu dostałam odmowę zabrania do szpitala, ale byłam już tak zdesperowana, że zagroziłam lekarzowi sądem, jeśli chora umrze bez pomocy. To poskutkowało i mimo oporu fizycznego Halinki zabrano ją do szpitala na Sobieskiego. Następnego dnia, z duszą na ramieniu, poszłam ją odwiedzić. Bardzo się bałam, że mając do mnie pretensje o to, że się tam znalazła wbrew swojej woli, nie będzie chciała mnie widzieć. Pełna obaw i przygotowana na najgorsze wyzwiska weszłam na salę chorych. Moja Halinka leżała w czystym łóżku i miała odsłoniętą twarz. Spojrzała na mnie i uśmiechając się, powiedziała: „O, to pani Haneczka". Była to największa nagroda, jaką otrzymałam kiedykolwiek od któregoś z moich podopiecznych w ciągu kilkunastu lat pracy.

Po kilku dniach Halinka zmarła. Dzielnicowy Ośrodek Opieki Społecznej pochował ją na cmentarzu na Wólce Węglowej. Uprosiłam księdza, aby odprawił egzekwie i pożegnał zmarłą, choć nie było wiadomo nic o jej stosunku do wiary i do Kościoła. Na pogrzebie byłyśmy tylko we dwie z moją koleżanką, z którą pracowałyśmy razem przez wiele lat jako opiekunki społeczne.

Do końca, mimo wielu lat bliskich kontaktów, Halinka pozostaje dla mnie tajemnicą. Nigdy nie zapytałam jej o powód ukrywania twarzy. Może właśnie dlatego darzyła mnie zaufaniem i udawało mi się choć trochę jej pomagać.

W ciągu kilkunastu lat pracy miałam oczywiście wielu podopiecznych, spotykałam różnych ludzi poszkodowanych przez życie, ale Halinkę ciągle wspominam szczególnie serdecznie.

Celina Cieliczko



Joanna Serafińska

ul. Kąkolewska

Sadyba to naprawdę wyjątkowe miejsce. Bardzo się cieszę, że tu się urodziłam i wychowałam. Wraz z przyjaciółmi wszyscy czuliśmy się jak jedna, wielka rodzina. Mam wrażenie, że nawet wszyscy nasi nauczyciele ze „Stotrójki" mieszkali na Sadybie. Okres szkoły podstawowej wspominam bardzo miło, mimo że w porównaniu do dzisiejszych czasów nie brakowało nam też dodatkowych obowiązków.

Przez kilka lat miałam przyjemność (czasem wątpliwą) pełnić funkcję gospodyni klasy. Do moich obowiązków należało przepisywanie notatek z lekcji (nie było wtedy kserokopiarek) i zanoszenie ich do nieobecnych w danym dniu kolegów z klasy. Do tego, też regularnie, nosiłam dziennik do uzupełnienia, np. do pani Głuchowskiej. Kiedy była chora, odbierałam od niej także poprawione klasówki, żeby oddać je kolegom i koleżankom z klasy. Teraz byłoby to nie do pomyślenia, prawda?

Szkolną bibliotekę prowadzili państwo Hardejewscy: Zofia i Tomasz. Wszyscy uczniowie wypożyczali od nich książki, zwłaszcza lektury, bo nie było innej możliwości, żeby zdobyć potrzebne dzieła. Państwo Hardejewscy mieszkali na ulicy Rabczańskiej. Każda książka, bez wyjątku, była dla nich ważna i musiała być obłożona w szary papier. Pan Hardejewski łapał uczniów, żeby obłożyli te najbardziej zniszczone. Słyszeliśmy po prostu





Na obu zdjęciach Joanna Morawska na obecnym skwerze Starszych Panów, Warszawa, lata 60. XX w.

„przyjdź po lekcjach do biblioteki” – nikt nie pytał, czy mamy jakieś zajęcie lub plany. Jednocześnie nie przyszłoby nam do głowy, żeby się nie zgodzić lub polemizować. Dość często byłam tą „wybraną na ochotniczkę”, zwłaszcza jako córka jednej z nauczycielek.

Idąc do biblioteki, trzeba było przejść przez stołówkę. Wielu moich kolegów chodziło tam na obiady. O ile dobrze pamiętam, było to w czasie tzw. dużej przerwy – chyba około godz. 12.30. Czasami zaglądałam do nich towarzysko. Obiady jadłam zazwyczaj w domu, więc nie byłam na nie zapisana w szkole. Trzeba jednak było wiedzieć, że w czasie tych obiadów, przy stoliku, odbywały się najlepsze rozmowy na wszelkie możliwe tematy. Na obiad była zupa, drugie danie i kompot – najczęściej bardzo cienki. Oczywiście nie wolno było nic zostawić na talerzu, bo przy okienku zwrotu brudnych naczyń stała pani Żerek i jeśli tylko na talerzu znajdowały się resztki jedzenia, kazała wracać do stolika i dokończyć. Dla niektórych był to prawdziwy koszmar! Z ciekawostek pamiętam, że kilka razy proszono nas o to, żebyśmy pomogli w kuchni obierać ziemniaki lub marchewkę. Teraz wydaje mi się to dziwne, ale jak to się mówi, to były inne czasy.

Do dodatkowych obowiązków szkolnych dochodziły jeszcze prace społeczne, które wtedy były czymś całkowicie naturalnym. Przykładowo, w domu przy skwerku mieszkała starsza pani Marcjanna – o ile dobrze pamiętam, osoba samotna. Razem z innymi koleżankami miałyśmy chodzić codziennie do stołówki, brać menażki z obiadem, zanieść je pani Marcjannie, poczekać, aż zje, i przynieść je z powrotem do szkoły. Było nam miło, że mogłyśmy choć trochę pomóc



Kartki z pamiętnika szkolnego Joanny Morawskiej, Warszawa, 1969 r.



Joanna Morawska z koszykiem w przydomowym ogródku, Warszawa, lata 60. XX w.



Chrzest w kaplicy przy ul. Goraszewskiej, powstałej w przedwojennej willi, Warszawa, lata 60. XX w.



Grażyna Morawska w ogródku, Warszawa, lata 60. XX w.



Joanna Morawska na tarasie w ogródku, Warszawa, lata 60. XX w.

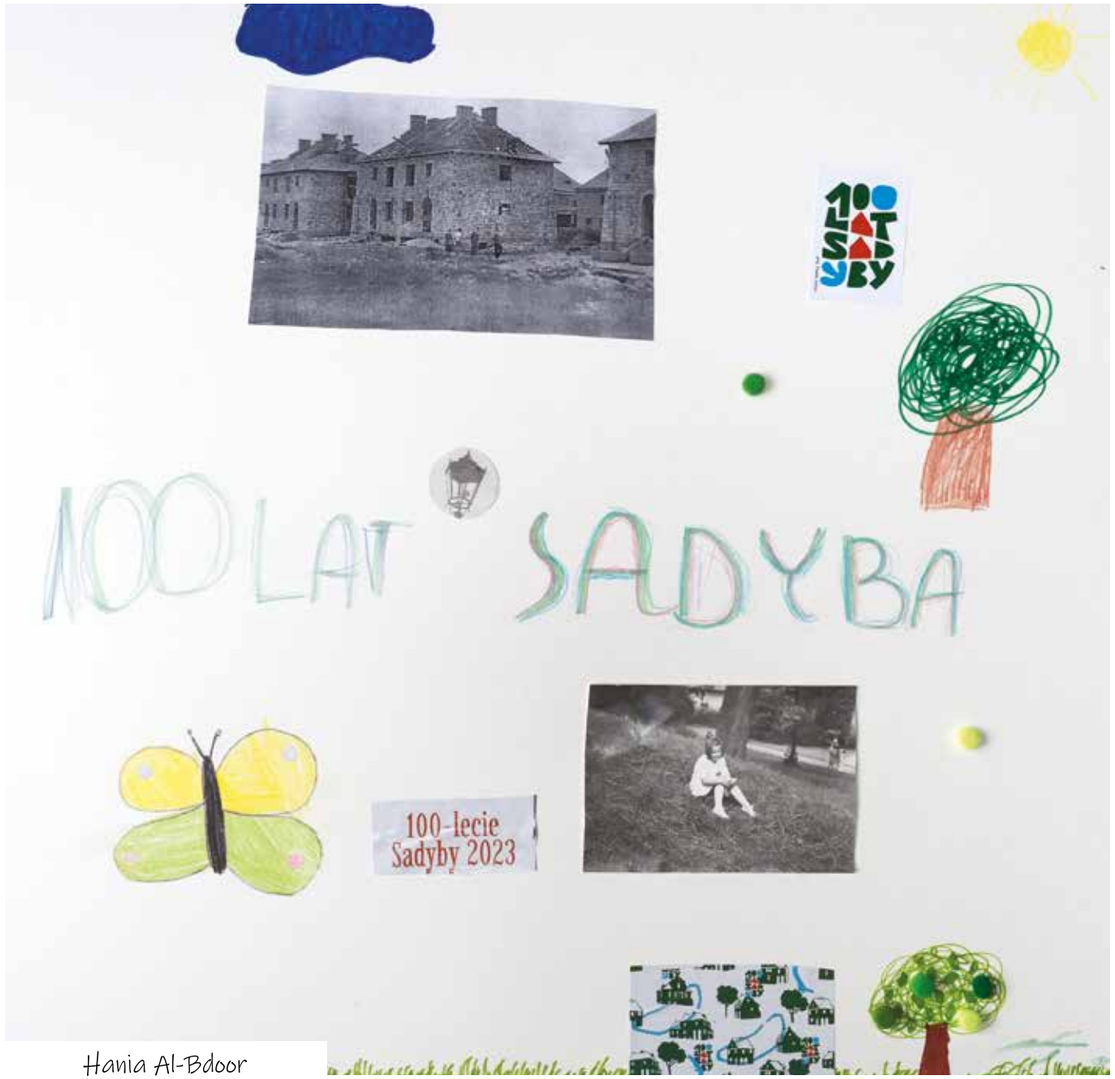
starszej pani. A i ją nasza pomoc bardzo cieszyła, o czym często uprzejmie wspominała.

Po szkole większość czasu spędzaliśmy na dworze. Latem oczywiście rower, a zimą, wiadomo, łyżwy. Często zbieraliśmy się na naszej uliczce Zwardońskiej, wtedy jeszcze drodze gruntowej, która świetnie nadawała się do gry w dwa ognie, klasy, kapsle czy skakanie w gumę. Pamiętam, że kiedy pewnego dnia zaczęli na naszej uliczce wylewać asfalt, wszyscy płakaliśmy dobry tydzień z powodu utraty naszego fantastycznego boiska do gier. My, dziewczyny, robiłyśmy też tzw. widoczki, przeważnie w ogródkach. Wykopywałyśmy dołek w ziemi, na dnie układałyśmy kompozycję z kamyków, szkiełek, listków czy kwiatków i przykrywałyśmy szybką, czyli szkiełkiem. Były one jednocześnie naszymi „sekretami".

Na Sadybie czuliśmy się bezpiecznie. Często łaziliśmy po okolicy zupełnie bez kontroli czy opieki. Pewnego razu, na początku lat siedemdziesiątych, nasi znajomi, dziewięcioletni chłopcy, udali się nad fosę przy ulicy Morszyńskiej. Zimą nie było w niej wody, prawdopodobnie była wypompowywana. Chłopcy zeszli na dno i za pomocą patyków zaczęli je badać. W pewnym momencie jeden z nich znalazł coś twardego. Po odkopaniu okazało się, że to skrzynka, a w niej kilkanaście granatów, jeszcze z czasów wojny. Był to taki niesamowity skarb, że znalazca nie chciał podzielić się z kolegami, więc wszystkie zataszczył do domu i schował pod swoim łóżkiem. Na szczęście historia miała szczęśliwe zakończenie – sprawą szybko zajęli się saperzy, wojsko i milicja.

Z barwnych szczegółów pamiętam jeszcze niezapomnianą panią Gagową. Przez wiele lat przynosiła nam (bardzo wcześnie rano) świeżutkie mleko, prosto od krowy. Dosłownie od krowy, bo mieszkała za jeziorkiem, gdzie miała gospodarstwo i krowy. Codziennie wystawialiśmy garnek na mleko na ganek, bo przychodziła o świcie i baliśmy się, że nie usłyszymy dzwonka. Furtka nie była zamykana na klucz, bo wszyscy czuli się bezpiecznie. Pamiętam też, że pani była lekko przygarbiona i bardzo kochana – niezwykle ją lubiłam. Większość czasu wydawała się taka spracowana. Po jej wizycie mleko trzeba było oczywiście przegotować i wypić lub zjeść z kaszką manną, którą uwielbiałam.

Wtedy na Sadybie nie było zbyt wielu sklepów, ale na ulicy Waszkowskiego mieszkała pani Lipińska, która w swoim dużym ogrodzie uprawiała warzywa i do niej chodziłyśmy po pomidory i inne warzywa. Biegałam po nie bardzo chętnie, bo cała okolica była dla nas jak książkowe Bullerbyn. Mimo że czasy były ciężkie, mam wrażenie, że niczego nam nie brakowało. Być może tylko na początku lodów. Oczywiście były do kupienia w warzywniaku lody „Bambino", ale po takie prawdziwe lody, w różnych smakach, trzeba było jechać do Zielonej Budki na plac Unii – a to już była spora wyprawa.



Hania Al-Bdoor

Agata Mianowska

ul. Goraszewska

Najwcześniejsze wspomnienia z dzieciństwa z lat sześćdziesiątych łączą mnie z miejscem mojego zamieszkania, ulicą Goraszewską. To jedna z ważniejszych ulic starej Sadyby, przy której stoi kościół parafialny pod wezwaniem św. Tadeusza. Przez drewniany, nieistniejący już most Goraszewska łączyła ulicę Powsińską ze znajdującą się po drugiej stronie Jeziorka Czerniakowskiego Elektrociepłownią Siekierki. W lecie, oprócz mieszkańców, chodzili po niej spacerowicze i plażowicze udający się, może mniej licznie niż obecnie, nad jeziorko, byli też przyjezdni wędkarze, którzy przesiadując na brzegu, oczekiwali na udany połów. Do dnia dzisiejszego za mostem znajdują się ogródki działkowe, z których z kwiatami i owocami w koszykach wracali ich właściciele. Ich trasa zmieniła się, gdy w latach siedemdziesiątych stary drewniany most rozebrano i zastąpiono go nowym, murowanym, stanowiącym przedłużenie ulicy Gołkowskiej.

Rytm dnia mieszkańców Goraszewskiej wyznaczał latarnik, który codziennie wieczorem zapalał latarnie gazowe usytuowane na skraju chodnika i gasił je rano, aby tego samego dnia powtórzyć tę czynność od nowa. O poranku, szczególnie w lecie, można było słyszeć nawoływanie obwoźnych sprzedawców reklamujących głośno swoje towary. Ktoś sprzedawał jagody, ktoś inny zrobione z witek brzozowych miotły. Po wyłożonej kocimi łbami ulicy terkotały zaprzężone w konie furmanki. Niektórymi wożono węgiel, większość domów na Sadybie nie miała centralnego ogrzewania, a innymi gospodarze z okolic Wilanowa przywozili na sprzedaż własne produkty rolne.

Ważnym miejscem na Goraszewskiej był dla mnie kiosk Ruchu, wypełniony kolorowymi długopisami, małymi buteleczkami perfum, kremami i innymi drobiazgami, które wydawały mi się skarbami nie do zdobycia. W kiosku pracowała pani Krajewska – była szczupła, ubrana w granatowy fartuch, robiła wrażenie osoby zasadniczej. W kiosku moja mama miała swoją teczkę, z której odbierałam zaprenumerowane czasopisma, zapamiętałam, że był to m.in. „Przekrój” i „Dookoła Świata”.

Po szkole często chodziliśmy nad jezioro. Do stojącego tam do dziś budynku OSiR-u[4] dobudowana była drewniana estrada i parkiet. Dla nas dzieci było to wspaniałe miejsce zabaw, odbywały się tam potańcówki i inne wydarzenia okolicznościowe. Pamiętam, że byłam kiedyś świadkiem występu słynnego radiowego kabaretu „Podwieczorek przy mikrofonie”. Zapamiętałam występ ubranego w mundurek ucznia Kazimierza Brusikiewicza w roli Malinowskiego.

[4] Ośrodek Sportu i Rekreacji

Niedaleko budynku OSiR-u, usytuowany w zatoczce Jeziorka Czerniakowskiego, znajdował się drewniany basen, a właściwie drewniana rama osadzona w wodzie, z podestem dookoła, miejsce, z którego chętnie korzystali amatorzy kąpieli. Wkrótce, nie wiem dlaczego, basen rozebrano. Dla kąpiących się pozostała plaża, pomost, a nawet wypożyczalnia kajaków, rowerów wodnych i łódek.

Niedaleko mojego domu był jedyny w okolicy sklep. Na tle tradycyjnej architektury zabudowań dzielnicy ten niewielki budynek, mnie jako dziecku, wydawał się bardzo nowoczesny. Po prawej stronie sklepu znajdowała się część spożywcza, po lewej sprzedawano wyroby mięsne. Od rana mieszkańcy pobliskich ulic ustawiali się w kolejce po bułki i mleko. Pod sklepem zbierali się miejscowi smakosze napojów alkoholowych. Atmosfera była towarzysko-sąsiedzka. Niestety, sklepu tak potrzebnego w tej okolicy już nie ma, w jego miejsce powstały za to lokale gastronomiczne.

Była także ciastkarnia, mieściła się w jednym z domów przy ulicy Goraszewskiej. Odwiedzający nas goście często wręczali mojej mamie paczuszki z zawartością zakupionych tam słodyczy, niestety dość marnej jakości.

Towarzyskie życie mieszkańców Sadyby było bardzo ożywione. Mieszkańcy odwiedzali się, zawsze można było liczyć na pomoc sąsiedzką. Pani Zofia Zawadzka i pani Janina Dobrowolska były znajomymi mojego dziadka, jeszcze z Wilna. Znajomości te i kilka innych przeniosły się w mojej rodzinie na następne pokolenia.

Elżbieta Rola

ul. Koronowska

Na Sadybie w latach sześćdziesiątych spędziłam z moim o rok młodszym bratem fantastyczne dzieciństwo. Rodzice sprowadzili się tu, gdy miałam półtora roku. Wychowywaliśmy się na wielkim placu budowy niedaleko jeziorka, bo wszyscy sąsiedzi w różnym tempie wznosili swoje domy. Zero płotów i ogrodzeń, brak ograniczeń, wielkie zwały piachu przy każdym domu, błotnista droga, po której po deszczu biegaliśmy boso z innymi dziećmi, a było ich tu naprawdę dużo, w różnym wieku. Żadnej nudy, mało kontroli, wiele swobody, przerzucania się pomysłami na wciąż nowe, nie zawsze bezpieczne zabawy: łapania chrabąszczy, wyciągania dżdżownic z kałuży i ustawiania ich w dwuszeregu, zjadania płatków polnych kwiatów (tzw. chlebków), biegania z fajerką podtrzymywaną pogrzebaczem, buszowania po zaroślach, włażenia na drzewa, akrobacji na trzepaku, wykopywania i wydobywania z dołów i dziur w ziemi różnych skarbów – starych garnków, zardzewiałych kluczy, śrub i gwoździ, słoików i buteleczek o inspirujących kształtach, różnokolorowych kamyków, końskich podków – i wymyślania dla nich nowych zastosowań albo fantastycznych opowieści, których te skarby oczywiście stawały się głównymi bohaterami. Z błota i gliny lepiliśmy wymyślne budowle i schody prowadzące donikąd, w górach piachu kopaliśmy tunele (za co oczywiście dostawaliśmy burę od dorosłych i trzeba było potem zgarniać piach łopatami). Biegaliśmy po łące, szukając kwiatów na wianki, i łapaliśmy biedronki, a potem natarczywie zachęcaliśmy je do lotu prosto do nieba po kawałek chleba, puszczaliśmy latawce z powiązanych sznurkiem patyków i niepotrzebnych gazet. Każda znaleziona rzecz znajdowała natychmiast jakieś niezwykłe zastosowanie, każda inspirowała do jeszcze lepszej zabawy.

Drzwi wszystkich domów były zawsze otwarte, zamykano je dopiero na noc i wtedy, gdy na ulicę dotarło hasło „Cygany jadą” – zwykle wykrzykiwane przez znanego wszystkim Garbusa z sąsiedniej ulicy Jodłowej lub kogoś z jego rodziny – dzieci szybko donosiły o tym zdarzeniu domownikom i znikały z ulicy, a potem niecierpliwie wypatrywały Cyganek, które pukały do drzwi, prosząc o wsparcie. Po odwołaniu cygańskiego niebezpieczeństwa ulica natychmiast zapełniała się dziećmi, a opowieściom o tym doniosłym wydarzeniu nie było końca. Na co dzień można było zawsze wejść do każdego domu, swojego lub sąsiadów, żeby się czegoś napić albo dostać coś do przegryzienia, poskarżyć się na konflikty z towarzyszami zabaw, poprosić o brakujące w zabawie rekwizyty, opatrzeć skaleczenia. Nasza ulica Koronowska była królestwem dzieci, dorośli żyli gdzieś na obrzeżu i oczywiście przerywali zabawy w najmniej pożądanych momentach, gdy nagle uznali, że nadeszła pora obiadu albo wieczornego szorowania i zmywania z siebie śladów całodziennych szaleństw.

Nieopodal mieliśmy prawdziwą wieś, Czerniaków, ciągnącą się od dworu nad jeziorem do kościoła Ojców Bernardynów, wzdłuż dzisiejszych ulic Gołkowskiej i Bernardyńskiej. Zlikwidowano ją w latach siedemdziesiątych i zastąpiono paskudnymi kilkunastopiętrowymi blokami. W letnie popołudnia polną drogą za naszymi ogródkami dostojnie kroczyły krowy wracające z łąk za jeziorem i porykiwały przeciągle, domagając się dojenia. Ze wsi dochodziło intensywne kwiczenie świń niecierpliwie czekających na swój posiłek. Piały koguty, gdakały kury, gęgały gęsi. Z okien naszego domu widzieliśmy kwitnące sady. Od czasu do czasu docierała stamtąd jakaś kobieta ze świeżym mlekiem, z którego mama robiła pyszne tłuste sery. Albo zaglądał małomówny mężczyzna z samodzielnie wykonaną maszyną na kołach: ostrzałką do noży, którą otaczaliśmy nieśmiało w niemym podziwie dla wprawnych ruchów szlifierza.

Między naszymi domami a wsią znajdował się wyjątkowy obiekt: kuźnia, do której można było chodzić tylko w towarzystwie dorosłych. Ale podkradaliśmy się tam od czasu do czasu w poszukiwaniu haceli (najbardziej pożądanego rekwizytu w grze w ciupy) albo ukryci w gęstych zaroślach podglądaliśmy niezwykle interesującą dla nas pracę kowala, skwapliwie unikając spotkania z nim, bo gonił nas zawsze i był wtedy bardzo groźny.

Drugą groźną i tajemniczą dla nas osobą w okolicy był ponury pan K., międzywojenny urzędnik niewysokiego stopnia (takie chodziły o nim słuchy), który przed wojną z niemałym wysiłkiem wybudował piętrową kamienicę z czterema mieszkaniami, by spokojnie dożyć swoich dni na emeryturze. Niestety, zaraz po wojnie upaństwowiono mu duży ogród, a w kamienicy dokwaterowano mnóstwo ludzi, właściciel zachował tylko dwa niewielkie mieszkania dla siebie, żony i bliskich krewnych. W pozostałych lokalach umieszczono rodziny z dziećmi, niemal w każdym pokoju inną. Nawet pomieszczenia piwniczne zajęli nieproszeni goście. Pana K. obarczono kosztami utrzymania domu, bo lokatorzy ze społecznego nadania płacili grosze albo wcale – takie obowiązywało wtedy prawo (gdy właściciele nie mogli udźwignąć tego ciężaru, obciążano długiem hipotekę i tracili swoje domy). Towarzystwo czuło się tam swobodniej niż właściciel, urządzało suto zakrapiane libacje, we wspólnych kuchniach i korytarzach wybuchały kłótnie i bijatyki, często gościła milicja. Ale mieszkało tam kilkoro bardzo towarzyskich rówieśników, którzy znali brzydkie słowa i byli wspaniałymi towarzyszami zabaw. W dodatku na podwórku, przy ścianie bez okna, stał trzepak, wyjątkowe miejsce okupowane przez wszystkie dzieci, gdy właściciela domu nie było w pobliżu. Gorszyliśmy się bardzo, gdy od czasu do czasu (przeważnie w deszczowe dni) pan K. podłączał ręczną pompę do swojego szamba i wypompowywał nieczystości na ulicę. Smród zmuszał nas wtedy do opuszczania naszego królestwa, a w okolicznych domach szczelnie zamykano okna. Ale nasi rodzice i sąsiedzi dobrze wiedzieli, o co chodzi, bo nie pozwalali nam źle mówić o panu K., otaczali go niemym szacunkiem

Żosia Libera



i nikt nigdy nie zawiadomił milicji o jego poczynaniach. Pan K. nie mógł spokojnie korzystać ze swojej emerytury, do końca życia ciężko pracował, by utrzymać zasiedlony przez obcych ludzi dom w rękach rodziny, wierząc, że kiedyś będzie normalnie. Po pracy sprzątał, odśnieżał, naprawiał, remontował, co mógł, heroicznym wysiłkiem bronił swojej Sadyby, nie pozwolił na obciążenie jej hipoteki – niestety, ten cichy bohater tamtych czasów nie doczekał chwili, gdy dom wrócił do rodziny.

Sadyba była pełna wyjątkowych miejsc, które odwiedzaliśmy chętnie sami lub w towarzystwie dorosłych:

- Stary drewniany most na jeziorze był miejscem niedzielnych spacerów.

- Estrada nad jeziorem, zwana potocznie dechami, na której urządzano potańcówki w ówczesne święta państwowe (1 maja i 22 lipca) – bawili się tam wszyscy tańczący mieszkańcy Sadyby.

- Boisko na terenie TKKF-u widoczne z okien szkoły, zwane Saharą – tak intensywnie używane przez młodocianych miłośników piłki nożnej każdego dnia do późnych godzin wieczornych, że przypominało pustynię.

- Lodowisko (wylewane na Saharze), na którym spędzaliśmy zimą długie godziny.

- Skwer im. Starszych Panów, wtedy jeszcze bezimienny – we wrześniu codziennie po wyjściu ze szkoły zbieraliśmy tam kasztany. Mieszkał tu przed wojną Kazimierz Pawłowicz, zapomniany założyciel starej Sadyby – jego dom nie przetrwał wojny, jako jedyny na Sadybie zniknął bez śladu.

- Kiosk Ruchu na skwerku – odwiedzany systematycznie w poszukiwaniu najpierw „Misia", potem „Świerszczyka", „Płomyczka" i „Świata Młodych". Do dziś istnieje tylko „Świerszczyk", najstarsze czasopismo dla dzieci na świecie, które w powojennej biednej Polsce skutecznie zastępowało podręczniki. W 2005 roku zostało uratowane przed likwidacją przez właściciela wydawnictwa edukacyjnego Nowa Era – Mariusza Kopra, który kupił je od Naszej Księgarni, i pismo nieprzerwanie od 78 lat zdobywa serca kolejnych pokoleń małych czytelników.

- Kaplica w przedwojennej willi przy ulicy Goraszewskiej (ówczesne władze nie wyrażały zgody na budowę kościoła), której proboszcz ks. Stanisław Witkowski kończył każdą homilię cytatem z psalmu Zygmunta Krasińskiego „że na ziemi być Polakiem – to żyć bosko i szlachetnie".

- Lodziarnia przy ulicy Powsińskiej z niezapomnianymi rurkami z kremem – lubiłam patrzeć na panią, która na miejscu smażyła

ciasto, zwijała je na metalowej rurce, a potem napełniała smakowitą śmietaną.

- Stara grusza na rogu ulic Bonifacego i Powsińskiej i wisząca na niej kapliczka. Gdy mieszkańcy wysiedleni z Sadyby po Powstaniu Warszawskim wracali do Warszawy, wieszali na drzewie pod kapliczką kartki z informacjami o sobie – to był najważniejszy sadybiański słup ogłoszeniowy w tamtym czasie. Uschnięte drzewo trzeba było wyciąć, ale właściciel nowego domu przy ulicy Powsińskiej 42 zadbał o kapliczkę, umieścił ją w ogrodzeniu swojej posesji, w odległości 3 metrów od nieistniejącego już drzewa.

- Niewielka Szkoła Podstawowa nr 103, w której uczyli wyjątkowi przedwojenni nauczyciele, świadkowie historii. Dyrektor Zygmunt Bill przemierzał korytarze i prowadził lekcje zawsze w towarzystwie swojego pekińczyka (moi koledzy w drugiej klasie zamknęli kiedyś psa w szufladzie stołu i nie mogli go potem stamtąd wydobyć; była afera!). Pan Hardejewski skutecznie uczył nas na pamięć tabliczki mnożenia i codziennie odpytywał z niej pod tablicą. Budowaliśmy z nim sześcian ze szczotek i sprawdzaliśmy w terenie wielką taśmą mierniczą, jak wygląda kilometr. Pani Wawrzyńska – nauczycielka polskiego i jej siostra Prakseda, używająca imienia Zofia, a przez swoich uczniów zwana pieszczotliwie „Sówką", nauczycielka historii ekspresyjnie opowiadająca o swoich doświadczeniach wojennych i organizująca na lekcjach niezapomniane inscenizacje wydarzeń historycznych. Moja pierwsza wychowawczyni Halina Jarosińska, która dzieciństwo spędziła w obozie koncentracyjnym (nad nadgarstkiem miała numer obozowy) i druga wychowawczyni pani Boniecka – bardzo uzdolniona plastycznie, ciepła i troskliwa. Pani Grudzińska na każdej lekcji chemii przeprowadzała ciekawe doświadczenia, niecierpliwie na nie czekaliśmy. Nauczycielka geografii pani Żerek prowadziła kursy księgowości dla uczniów pracujących w szkolnym sklepiku. Pani Smorga i jej trójwymiarowa matematyka – wycinaliśmy siatki brył, wklejaliśmy do zeszytów i przez wierzchołki przewlekaliśmy nitkę, wystarczyło za nią pociągnąć i podnosił się ostrosłup, sześcian, prostopadłościan. To było fantastyczne doświadczanie geometrii przestrzennej. I oczywiście mieszkające w budynku szkolnym małżeństwo Chybów, dzięki którym szkoła była zadbana i bezpieczna.

Z radością dostrzegam, że dla moich córek Sadyba, wprawdzie bardziej ucywilizowana niż ta moja sprzed prawie 60 lat, również była krajem beztroskiego dzieciństwa. Lubią to miejsce. Wracają tu chętnie. Wędrujemy ścieżkami rezerwatu wokół jeziorka, zapoznajemy się z historiami pierwszych właścicieli domów (tablice na ogrodzeniach to znakomity pomysł!), odkrywamy to miejsce ciągle na nowo.

Tosia Markiewicz



Anna Urbańska
ul. Koronowska

Sadyba zawsze będzie kojarzyła mi się ze wspaniałym, beztroskim, ale również pełnym przygód dzieciństwem. Mieszkałam na ulicy Koronowskiej ponad 40 lat i zawsze, kiedy tu wracam, mam nostalgiczne uczucia. Kiedy idę na spacer z psem nad Jeziorko Czerniakowoskie, wyświetlają mi się obrazy pełne kolorów, zapachów, a nawet smaków z tamtych lat. A oto kilka z nich.

Ulica Koronowska
Jakże inna od tej dzisiejszej... Może trochę brzydsza, ale na pewno bardziej spokojna. Była bezpiecznym placem zabaw dla dzieci, które tam mieszkały. Pamiętam różne zabawy, takie jak gra w gumę, w chowanego, berek, skakanka, podchody, łapanie chrabąszczy (o zgrozo!), a zimą bałwany, sanki, zabawa w śnieżki. To wszystko działo się na ulicy, na której bardzo rzadko pojawiały się pojazdy. Teraz idąc tą ulicą, trzeba bardzo uważać, żeby nie być rozjechanym przez rozpędzone samochody, które jeżdżą tam w zasadzie bez przerwy. Pamiętam też taki obraz w czasie bardzo srogiej zimy, kiedy ulicą Koronowską szło się jak w korytarzu ze śniegu. Dla dzieci to były niesamowite przeżycia.

Droga do szkoły
Tak, tak, ta sama szkoła nr 103 na ulicy Jeziornej. Nasza klasa z wychowawczynią, panią Żerek, postrachem całej szkoły. Cudowna wychowawczyni, groźna z pozoru, ale zawsze murem stojąca i walcząca o swoją klasę. Wtedy prawie nikt nie podwoził dzieci do szkoły, bo wszyscy w zasadzie mieli bardzo blisko. Przed godziną ósmą uczniowie w fartuszkach szkolnych, z tornistrami, wymachując workami na kapcie, szli lub biegli do szkoły. Myślę, że tylko odosobnione przypadki zbaczały z tej drogi. Również powroty ze szkoły były bardzo ciekawe, a przynajmniej w moim przypadku. Pamiętam, że jedna moja koleżanka nosiła mi tornister tylko dlatego, żebym opowiedziała jej bajkę o duchach. Codziennie inną, żeby nie było... Takie to były czasy..., czyli ta sama szkoła, ale niezupełnie.

Lodowisko przy szkole
Spełniało bardzo ważną funkcję nie tylko sportową, ale również towarzyską – spotykaliśmy się tam po szkole. Wyświetla mi się taki obraz: padający śnieg w świetle reflektorów, muzyka z głośników i chłopak, który ściąga mi czapkę z głowy. Prawdopodobnie musiał mi się podobać, bo byłam bardzo szczęśliwa, choć oczywiście udawałam złą i goniłam go z całych sił z rozwianym włosem.

Skwerek Starszych Panów
Kiedyś nie był tak zadbany, ale stał tam kiosk, który był bardzo ważnym źródłem zakupów dla dzieci wracających ze szkoły (np. dropsy lub gumy do żucia itd.). Pamiętam, że jako nastolatka, wracając przez słabo oświetlony skwerek, zawsze bałam się, że ktoś czai się w krzakach. Ten strach nie był bezpodstawny, bo kiedyś niestety w tych krzakach zaskoczył nas ekshibicjonista i oczywiście przeżyliśmy szok. Tak więc wtedy też były różne zagrożenia...

Jeziorko
W tej okolicy było bardzo dużo miejsc do zabaw, choć nie wszystkie bezpieczne. Muszę się przyznać do przestępstwa, które mam nadzieję, teraz uległo przedawnieniu. Otóż w wieku około dziewięciu lat stałam się hersztem bandy, która składała się głównie z dzieci młodszych ode mnie. Nie pamiętam dokładnie, co ta banda robiła oprócz tego, że istniała, i to już nam się bardzo podobało. Wprowadzało to do naszego dzieciństwa, które i tak nie było w żadnym wypadku nudne, podekscytowanie i świadomość, że robimy coś, czego nie wolno. Przynajmniej tak nam się wtedy wydawało. Nie mam pewności, ale prawdopodobnie głównie grasowaliśmy przy brzegu jeziora, gdzie były zwalone drzewa i fajnie się na nich siedziało, czy na pobliskich działkach, gdzie (prawdopodobnie) podkradaliśmy czereśnie. Na szczęście nigdy nie wpadliśmy w ręce policji, a w zasadzie Milicji Obywatelskiej.

Cukiernia na ul. Goraszewskiej
Pamiętam, że schodziło się po schodkach do małej cukierni. Byłam tam – pewnie jak większość dzieci – częstym gościem razem z moją koleżanką Agatą Mianowską. Nie wiem dlaczego, ale zawsze dostawałyśmy tam kompletnej głupawki. Już schodząc po schodkach, zataczałyśmy się ze śmiechu. Widzę taki obrazek: zdziwiona mina pani ekspedientki na widok tych samych dziewczynek, które nie są w stanie wymówić słowa, np. „ponczowe", bo pękają ze śmiechu. Nie przypominam sobie, żebym potem tak beztrosko się śmiała.

Akacja na ul. Zakręt
Ktoś posadził akacje. Jedna z nich, która rośnie do tej pory na rogu ulic Koronowskiej i Zakręt, była na sto procent naszą akacją — tzn. moją i wyżej wspomnianej koleżanki. Ponieważ rosła w połowie drogi między naszymi domami, to była punktem naszych spotkań. Tu, pod tą akacją, bardzo często rozmawiałyśmy, śmiałyśmy się i zwierzałyśmy się. Odprowadzając się nieskończoną ilość razy do domu, zawsze zatrzymywałyśmy się w tym miejscu. Poza tym kwitnąca akcja zawsze była zwiastunem długo oczekiwanych wakacji. „Gdy kwitną akacje, zbliżają się wakacje".

No i wakacje... Każdy z nas gdzieś wyjeżdżał, może nie w tak odległe miejsca jak teraz, ale nawet gdy zostawaliśmy na Sadybie, nie nudziliśmy się. Sadyba to miejsce pełne różnych zakątków, zieleni, urokliwych uliczek... Nie bez powodu tutaj toczyła się akcja książki Adama Bahdaja *Uwaga! Czarny parasol!*.

Grażyna Smorga
ul. Powsińska

Wiele lat temu, jadąc z Wilanowa tramwajem nr 33, nie pomyślałam, że Sadyba stanie się tak ważnym miejscem w moim życiu zawodowym i prywatnym.

W 1962 roku rozpoczęłam pracę w SP 103 w starym budynku przy ulicy Zielonej (dawniej mieściła się tam SP 115). Warunki były trudne, ale zapału dużo. W perspektywie była nowa szkoła – tysiąclatka pięknie położona nad Jeziorkiem Czerniakowskim.

Miłe, głównie młode koleżanki, sympatyczny kierownik Zygmunt Bill – to wszystko zachęcało do pracy. Dzieci okazały się otwarte na wiedzę i na nas.

Rok szkolny 1963/64 rozpoczęliśmy w nowym budynku pachnącym świeżością. Wybudowano go w ciągu roku przy dużym zaangażowaniu rodziców. Podobały mi się wysokie klasy, przestronne korytarze, sala gimnastyczna.

Nowa szkoła przyjęła wszystkich uczniów zamieszkałych w rejonie. Rejon szkoły obejmował: wschodnią stronę ulicy Powsińskiej od ulicy Augustówka do placu Bernardynów oraz Augustówkę. Znacznie wzrosła liczba klas, w niektórych liczba uczniów przekroczyła czterdzieścioro. W salach lekcyjnych nadal stały ławki z miejscem na kałamarze.

Powiększyło się grono nauczycielskie. Znaczna jego część mieszkała na Sadybie. Otoczenie szkoły przypominało park. Zieleń, trawniki, krzewy, drzewa, no i skalniak z fontanną robiły wrażenie.

W sali gimnastycznej z inicjatywy pani Ewy Szulc, nauczycielki WF-u, pracownicy szkoły i mieszkańcy Sadyby spotykali się i grali w siatkówkę. Nawiązały się nowe znajomości, a nawet sympatie. Te spotkania dały impuls do utworzenia TKKF-u „Wars". Inicjatywa ta zjednoczyła mieszkańców. Wiele prac porządkowych wykonano społecznie.

Już w 1964 roku na szkolnym boisku powstało lodowisko dla uczniów i mieszkańców z wypożyczalnią łyżew i oczywiście muzyką. A zimy wtedy były mroźne i śnieżne.

W następnym roku lodowisko działało już na terenie „Warsu". Stanowiło ogromną atrakcję. W niedzielę były tłumy. Wychodząc naprzeciw potrzebom młodzieży, wydzielono i zabezpieczono lodowisko do gry w hokeja.

Uczniowie Szkoły Podstawowej nr 103, trenowani przez trenera-amatora pana Wojciecha Smorgę, wystartowali w turnieju „Złoty krążek". Doszli, a właściwie dojechali do finału. Turniej nie został rozstrzygnięty, bo zbyt wcześnie odeszła zima. Szkoda, chłopcy grali świetnie. Byli mocno zmotywowani.

W 1964 roku zamieszkałam na Sadybie. W upalne dni nad jeziorko ściągali tłumnie mieszkańcy Warszawy, żeby zażywać kąpieli. Atrakcją był drewniany basen zanurzony w jeziorku. Z drewnianego mostu na szczęście nieliczni śmiałkowie skakali do wody. Drzewa rosnące tuż za ogrodzeniem plaży posadzili uczniowie ze SP 103.

Warto wspomnieć o miejscu, w którym obecnie mieści się Muzeum Wojska Polskiego. Ma ono swoją powojenną historię. Jeszcze w latach siedemdziesiątych w koszarach stacjonowała jednostka wojskowa. Potem otwarto tam noclegownię dla bezdomnych. W kolejnych latach działało Muzeum Katyńskie.

W czasie budowy Wisłostrady gwałtownie obniżył się poziom wody w fosie. Odsłonięte zostały fragmenty amunicji ukryte pod wodą. Nastąpił czas grozy. Dzieci oczywiście penetrowały ten teren. Wówczas niektórzy rodzice odkrywali w tapczanach granaty. Na szczęście sytuacja została szybko opanowana, choć zdarzył się nieszczęśliwy wpadek, kiedy granat eksplodował i urwał chłopcu część dłoni.

Sadyba zmieniła się. Zniknęły gospodarstwa rolne i pola uprawne, wyrosły na ich miejscu osiedla. Wybudowano nowy most. Dawno zniknął basen, a także tramwaje. Bruk na ulicy Powsińskiej zastąpiono asfaltem.

Sadyba wypiękniała.



Grażyna Smorga z uczniami podczas rozpoczęcia roku szkolnego w szkole przy ul. Zielonej, Warszawa, 1962 r.



Zofia Pawlik

Mariusz Arno Jaworowski

ul. św. Bonifacego

Na Bonifacego sprowadziliśmy się na oko w 1961 roku. Dom był niewykończony, pamiętam stolarzy robiących szafy i półki na książki na schodach na górę. Półki zrobione były z desek ze skrzyni, w której przyjechał na dworzec towarowy moskwicz kupiony przez ojca w Londynie. W domu było mnóstwo elementów z recyklingu – przedwojenne drzwi, klepka z odzysku (nadal trochę jej tam jest).

W bliskiej okolicy mieszkało sporo dzieci. Chodziliśmy razem do prywatnego przedszkola w wojskowej kamienicy na Okrężnej. Przedszkole prowadzili państwo Tecławowie. A potem cała grupa wylądowała w jednej klasie w „Stotrójce". Przedszkole było świetne, znajdowało się w dużym mieszkaniu, stał tam telewizor „Wisła", ktoś stale puszczał radio, w którym leciało *Biedroneczki są w kropeczki*. Na spacery chodziliśmy do parku im. Szczubełka, który wtedy wydawał się magiczny. Później, już w podstawówce, często ścigaliśmy się tam na rowerach. Z przedszkolem chyba była też związana pani Burgielska, mieszkająca na Okrężnej, która uczyła nas angielskiego, a już na pewno uczyła mnie i jedną z koleżanek z Jodłowej.

Z dziećmi z sąsiedztwa bawiliśmy się w ogrodach, a czasem na Jodłowej przy kamienicy. Bardzo ciekawe, że mnóstwo dzieciaków z okolicy było w tej samej klasie. Z samej Jodłowej, między Bonifacego a Woziwody, troje. Mieliśmy pełno zabaw zespołowych – podczas Wyścigu Pokoju kapsle. Niektórzy, co zdolniejsi, mieli kapsle wypełnione gipsem i pomalowane we flagi. Najważniejsze, że mnóstwo rzeczy robiło się wspólnie. Jak trochę podrośliśmy, to jeździliśmy grupami na rowerach. Marzeniem wszystkich był składak. Ja miałem tzw. młodzieżówkę – porażka.

Któregoś roku zaczęto budować sieć ciepłowniczą. Wtedy otworzyło się przed nami gigantyczne pole do niebezpiecznych zabaw. Skakanie po tych wykopach, łażenie w rurach, czasem już pospawanych i daleko się ciągnących. Główny wykop był na przedłużeniu mostu nad jeziorkiem. Tam, między obecną Gołkowską a dworem i lodownią, była czynna kuźnia pana Lisa. Chodziło się tam popatrzeć, jak pracuje. On z nami rozmawiał, pokazywał. Ale chodziliśmy też po hacle do gry w ciupy. Ileż to obitych dłoni było potem. Z panem Lisem czasem współpracował pan mieszkający w kamienicy z szarej cegły na rogu Juraty i Koronowskiej. Nie miał jednej ręki, zajmował się rozwożeniem węgla. Do domów wnosili panowie węgiel w wielkich, kwadratowych koszach noszonych na plecach. To zniknęło wraz z ciepłem z elektrowni. Za czasów węgla wracało się z nart do wyziębionego domu.

Byli panowie z węglem, ale była też pani z jagodami, krzycząca: „Jagody, jagody, jago...”. Podobnie krzyczał pan jeżdżący wozem, krzyczący: „Butelki kupuję, butel...”. Był też pan ostrzący noże. Wielu było panów. Panów, którzy często coś robili w ogrodach, pomagali przy cięższych pracach. Często do tych zadań wynajmował się niejaki Garbus, który niestety zakończył życie po tym, jak wypił coś z butelki u sąsiada w garażu. Zza jeziorka można było ściągnąć pana z koniem do zaorania trawnika. Na ulicy łapało się panów szambiarzy. A u mnie na płocie do końca była wielka, drewniana skrzynka na listy. Pierwotnie była skrzynką na mleko. Codziennie rano mleczarz zostawiał trzy litry mleka ze złotym kapslem. To mi przypomina obrazek z Budapesztu z 1993 roku, kiedy nagle obok studia Mafilm zobaczyłem pana z wózkiem ciągniętym przez osiołka, a na wózku stały syfony z wodą sodową. Po sodówę można było czasem chodzić do samu na skwerku lub do Grzegorczyka na Powsińskiej. Obok Grzegorczyka była ciastkarnia z lodami, pączkami i rurkami z kremem. Bardzo cierpiałem, bo potwornie szybko wchłaniałem lody. Kupowałem pięć kulek, czasem sześć i nim koledzy przebili się przez pierwszą, ja już zjadałem wszystko. A oni ciągle mieli.

Sklep na skwerku, czyli sam, był dla nas rajem. Była czekolada wedlowska z orzechami, mnóstwo cukierków, czasem rzucali pomarańcze, winogrona, arbuzy. Było pyszne pieczywo. Czasem lody. W pewnym momencie pojawiła się coca-cola. A przed nią piliśmy przesłodzoną oranżadę. Skwerek obok sklepu: po pierwsze, był częścią drogi do szkoły, po drugie, też ścigaliśmy się tam na rowerach, i po trzecie, był tam kiosk. W kiosku najróżniejsze skarby. Gazety, pisma, zabawki, podstawowa chemia. I miła pani. Były tam też książki z serii „Tygrys”. Jedną kupiłem, o pobycie Józefa Cyrankiewicza w Oświęcimiu. Czytać się tego nie dało.

Jeziorko stanowiło odrębny byt. Tam ojciec uczył mnie pływać na drewnianym, pływającym basenie u wylotu rzeczki do jeziorka. Darłem się jak zarzynany, ojca chcieli zlinczować. Po latach, kiedy pan Wolski (ten od WF-u) prowadził stanicę po drugiej stronie, chodziliśmy tam robić karty pływackie, wypożyczać kajaki. Czasem, zawinąwszy rzeczy w kłębek, płynęliśmy w poprzek jeziorka na plażę, jedną rękę z rzeczami trzymając w górze nad wodą. Dziś wszyscy dorośli by za to po osiem lat dostali. Dalsza część jeziorka też była ciekawa, dziksza. Był bardziej stromy brzeg, tam pozwalane drzewa. I często kąpali się tam obywatele z różnymi osobami płci przeciwnej. Jeździliśmy tam na rowerach, bo czasem coś nam tam w oczy wpadło. Tuż za dworem, który stoi na wysokości tego właśnie brzegu, była przedwojenna lodownia. Jeszcze za naszych czasów kopano tam w zimie lód i składano go pod słomianymi matami. Za lodownią rósł zagajnik bzowy. A bez był najlepszy na robienie proc. Były zawody, kto będzie miał najlepszą. Jeździliśmy sami do składnicy harcerskiej po kauczuk. Formowaliśmy proce, wiążąc widełki



Mariusz Jaworowski z rodzicami przed domem przy ul. św. Bonifacego, Warszawa, lata 60. XX w.



Wyciąganie jachtu z ogrodu
do transportu nad morze,
Warszawa, 1987 r.



Janek Stępień i Mariusz Jaworowski
przed domem przy ul. św. Bonifacego,
Warszawa, lata 70. XX w.

i mocząc je w wodzie. Czasem pomagali nam rodzice. Miejsca do strzelania było dużo. Ale strzelaliśmy też przy domu. Któregoś razu koleżanka z Jodłowej szła ze szkoły w poprzek Bonifacego, a ja krzyczę: „Małgośka, patrz, jaką mam procę!" i wystrzeliłem dość spory kamień wysokim lobem. Małgośka patrzy, jak kamień leci, patrzy, patrzy i nagle kamień pac ją w sam środek czoła. Wesoło nie było. Przeżyliśmy. Proce służyły także do tłuczenia lamp, nie tych gazowych, a zwykłych. Trudno było trafić.

Żyliśmy tam sobie w bezpiecznej enklawie. Może nie aż tak bezpiecznej, bo ojciec pozwalał mi jeździć autem już w szóstej klasie. A naukę zaczął od tego, że kazał mi samemu wyjechać tyłem z podziemnego garażu. Parę razy samochód po cichu lądował w warsztacie na Czyżewskiej u pana Zbyszka. Najczęściej obrywały miski olejowe na kocich łbach na Okrężnej. Żeby pojeździć, wstawałem o szóstej i pół godziny jechałem na skwerek do samu. Okrężną drogą.

Nieco mniej bezpiecznie zrobiło się po wybudowaniu czteropiętrowych bloków między Wisłostradą a Gołkowską (następny rzut to była Bernardyńska). Sprowadzili się tam milicjanci, których dzieci nie były najgrzeczniejsze, i element napływowy z drugiej strony Wisły. Słowem, pojawili się gitowcy. Miało to masę wad, bo budził się w nas czasem strach, ale też plusy, bo uczyliśmy się słownictwa, które w mojej pracy się przydaje.

Odległości wydawały nam się olbrzymie. Przejście z Bonifacego na Zieloną było wyprawą. Na początku z balkonu na Bonifacego widać było całe miasto. Potem pojawiły się pierwsze bloki, potem następne i perspektywa się zawęziła. Mieliśmy wrażenie, że do miasta jest daleko. Dojazd do kina Czajka samochodem to albo było kluczenie po bruku przez tory tramwajowe tam i z powrotem, albo jazda naokoło Bonifacego i Sobieskiego. Po wybudowaniu Wisłostrady wszystko się zmieniło, zrobiło się bliżej, ale zniknął tramwaj. Zaczęliśmy inaczej jeździć na lotnisko. Najpierw jeździliśmy Bonifacego, Sobieskiego, Idzikowskiego, Odyńca. Na Idzikowskiego była wielka kałuża, można było zalać elektrykę w aucie. Potem pojawiła się Wisłostrada i opłaciło się gnać pustą Wisłostradą i Trasą Łazienkowską do Żwirki i Wigury. Potem pojawiła się aleja Lotników i dojazd z lewej strony. Cały czas naokoło były zmiany, a bardzo mało zmian zachodziło na samej Sadybie. Jedynie w obrębie Powsińskiej wszystko się zmieniło. Zniknął tramwaj, poprawił się dojazd do Wilanowa, no i zabudowano okolice Bonifacego i Powsińskiej potworami architektonicznymi.

Znikały po kolei małe sklepiki – Grzegorczyk, cukiernia jedna i druga, Pyzel, warzywniak przy kładce, w końcu zniknęła stara apteka. Pierwszą ofiarą zmian był punkt repasacji pończoch. Na oko stał tam, gdzie jest dziś kładka. Zniknął fryzjer. Najpierw przeniósł się spod kościoła w pobliże Powsińskiej na Goraszewskiej, a potem całkiem zniknął. Podobnie jak cukiernia w piwnicy na



Filomena Grey

Goraszewskiej. Zniknęły stałe punkty z Okrężnej: mydlarnia, papiernik, szklarz – często odwiedzany z powodu wspomnianej procy, fryzjer. O maglu nawet nie wspomnę. Zmiany, zmiany, zmiany.

Sadyba nieraz udawała Anglię, kiedy kręcili Kobrę. Na rogu Zakrętu i Jodłowej pojawiała się angielska budka telefoniczna i pan Jerzy Kamas kogoś mordował. Na łące nad jeziorkiem, przy ulicy Zakręt, Janusz Nasfeter kręcił kilka filmów. Pamiętam zdjęcia z Filipem Łobodzińskim.

Sadyba poza udawaniem Anglii nie udawała niczego, była dla nas dzieci naszym miejscem, oddalonym i oddzielonym od miasta polami, łączyła nas z miastem tylko nitka tramwajów.

Ale za to docierały do nas dźwięki. Oś Bonifacego prowadziła w prostej linii na pas startowy Okęcia i czasem było słychać, jak samoloty grzały silniki. Później wszystko zabudowano blokami i te dźwięki zniknęły lub wtopiły się w ogólny szum.

Gdyby pociągnąć Bonifacego w drugą stronę, trafilibyśmy na lotnisko na Gocławiu. Tego nie było słychać, ale za to było widać. Dwupłatowce ciężko i powoli startujące, skaczący z nich spadochroniarze, czasem masowo, samoloty wyciągające szybowce. Często mieliśmy świetne widoki. Później oczywiście to też zniknęło.

Prawdziwe zmiany zachodzą teraz, kiedy większość domów zmieniła właścicieli i wyszło na to, że nasze, kiedyś duże domki okazały się małymi klitkami i nowi właściciele je rozbudowują, czasem w koszmarny sposób. *Signum temporis.*

Zaszła jeszcze jedna dość przykra zmiana. Zniknęło całkowicie lodowisko na terenie TKKF-u, stworzone z inicjatywy Błażewiczów. Jak pewnie większość dzieci spędzałem tam dużo czasu. Ale jest możliwe, że byłem tam dłużej niż inni. Rodzice pozwalali mi na wszystko pod warunkiem, że do nich zadzwoniłem. W związku z tym po szkole bieg do domu, tam może coś do jedzenia i gazem na lodowisko do siódmej lub ósmej. Na szczęście miałem drobne na herbatę i coś do przegryzienia (z tym nie było tam najlepiej, ale można było w łyżwach skoczyć do samu na skwerek). Na lodowisko przychodzili wszyscy, genialne miejsce. Teraz wypchnięte z krajobrazu przez kopuły na kortach tenisowych.

Spis fotografii i ilustracji

Str. 8
Kolaż „100 lat Sadyby” – Aniela Dąbska

Str. 10
Monika Stępień – przejażdżka moskwiczem, Warszawa, lata 60. XX w., wł. Monika Jaworowska

Monika Stępień z sąsiadką Elą Komorowską w ogrodzie na ul. Kuracyjnej, Warszawa, lata 60. XX w., wł. Monika Jaworowska

Monika Stępień w wózku, Warszawa, lata 60. XX w., wł. Monika Jaworowska

Monika Stępień w ogrodzie na ul. Jeziornej, Warszawa, lata 60. XX w., wł. Monika Jaworowska

Str. 13
Kolaż „100 lat Sadyby” – Dorota Nowacka

Str. 17
Monika Stępień z sąsiadką Elą Komorowską w ogrodzie na ul. Kuracyjnej, Warszawa, lata 60. XX w., wł. Monika Jaworowska

Str. 18
Rodzina Stępniów przed domem na ul. Jeziornej, Warszawa, lata 60. XX w., wł. Monika Jaworowska

Str. 20
Kolaż „100 lat Sadyby” – Nina Nowak

Str. 21
Lunia Sitkiewicz z siostrą Małgosią i rodzicami Marią i Henrykiem w ogrodzie na Sadybie, Warszawa, 1968 r., wł. Lunia Bonder

Str. 22
Lunia Sitkiewicz z siostrą Małgosią w ogrodzie na Sadybie, Warszawa, 1968 r., wł. Lunia Bonder

Str. 23
Lunia Sitkiewicz, Warszawa, 1972 r., wł. Lunia Bonder

Str. 24
Lunia Sitkiewicz w ogrodzie na Sadybie, Warszawa, 1968 r., wł. Lunia Bonder

Str. 26
Tomek Rubaszewski na ul. św. Bonifacego, w tle kiosk warzywny, Warszawa, lata 60. XX w., wł. Paweł Rubaszewski

Widok ul. św. Bonifacego w kierunku ul. Gołkowskiej, Warszawa, 1981 r., wł. Paweł Rubaszewski

Str. 27
Tomek Rubaszewski z bratem ciotecznym na ul. św. Bonifacego, Warszawa, lata 60. XX w., wł. Paweł Rubaszewski

Str. 28
Kolaż „100 lat Sadyby” – Kasia Jaczyńska

Str. 30
Widok w stronę ul. Kąkolewskiej, Warszawa, lata 70. XX w., wł. Katarzyna Barczyńska

Widok na ul. św. Bonifacego, Warszawa, lata 70. XX w., wł. Katarzyna Barczyńska

Str. 31
Kasia Furman z ciocią Hanią Michałowską-Smak w ogrodzie na Sadybie, Warszawa, lata 60. XX w., wł. Katarzyna Barczyńska

Pierwsze prace ogrodnicze w ogródku przy ul. św. Bonifacego, Warszawa, lata 60. XX w., wł. Katarzyna Barczyńska

Str. 32
Jeziorko Czerniakowskie, Warszawa, lata 70. XX w., wł. Katarzyna Barczyńska

Str. 33
Kolaż „100 lat Sadyby” – Marcelina Frączek

Str. 35
Kolaż „100 lat Sadyby” – Marta i Klaudia Kudła

Str. 38
Kolaż „100 lat Sadyby” – Celina Cieliczko

Str. 39
Na obu zdjęciach Joanna Morawska na obecnym skwerze Starszych Panów, Warszawa, lata 60. XX w., wł. Joanna Serafińska

Str. 40
Kartki z pamiętnika szkolnego Joanny Morawskiej, Warszawa, 1969 r., wł. Joanna Serafińska

Str. 41
Joanna Morawska z koszykiem w przydomowym ogródku, Warszawa, lata 60. XX w., wł. Joanna Serafińska

Chrzest w kaplicy przy ul. Goraszewskiej, powstałej w przedwojennej willi, Warszawa, lata 60. XX w., wł. Joanna Serafińska

Grażyna Morawska w ogródku, Warszawa, lata 60. XX w., wł. Joanna Serafińska

Joanna Morawska na tarasie w ogródku, Warszawa, lata 60. XX w., wł. Joanna Serafińska

Str. 43
Kolaż „100 lat Sadyby” – Hania Al-Bdoor

Str. 48
Kolaż „100 lat Sadyby” – Zosia Libera

Str. 51
Kolaż „100 lat Sadyby” – Tosia Markiewicz

Str. 55
Grażyna Smorga z uczniami podczas rozpoczęcia roku szkolnego w szkole przy ul. Zielonej, Warszawa, 1962 r., wł. Grażyna Smorga

Str. 56
Kolaż „100 lat Sadyby” – Zofia Pawlik

Str. 59
Mariusz Jaworowski z rodzicami przed domem przy ul. św. Bonifacego, Warszawa, lata 60. XX w., wł. Mariusz Arno Jaworowski

Str. 60
Wyciąganie jachtu z ogrodu do transportu nad morze, Warszawa, 1987 r., wł. Mariusz Arno Jaworowski

Janek Stępień i Mariusz Jaworowski przed domem przy ul. św. Bonifacego, Warszawa, lata 70. XX w., wł. Mariusz Arno Jaworowski

Str. 62
Kolaż „100 lat Sadyby” – Filomena Grey

Autorzy:
Katarzyna Barczyńska
Lunia Bonder
Monika Jaworowska
Mariusz Arno Jaworowski
Agata Mianowska
Anna Michałowska-Szpak
Elżbieta Rola
Paweł Rubaszewski
Joanna Serafińska
Grażyna Smorga
Anna Urbańska

Koncepcja i realizacja:
Monika Jaworowska
Aleksandra Karkowska
Justyna Markoff

Konsultacja redakcyjna:
Agnieszka Kurpisz

Projekt graficzny:
Joanna Malik

Digitalizacja materiałów:
Dawid Markoff

Wydawca:
Fundacja Wytwórnia Inicjatyw Twórczych

Adres wydawcy i redakcji:
ul. Powstańców Wielkopolskich 2
91-043 Łódź
wytworniainicjatyw@gmail.com

Opieka produkcyjna:
Bohdan Gawroński

Wydanie I, Warszawa 2023

Copyright
Fundacja Wytwórnia Inicjatyw Twórczych, MMXXIII

projekt współorganizuje dzielnica Mokotów

Projekt zrealizowany w ramach inicjatywy lokalnej.

Patronaty:

Finansowane przez Unię Europejską

EUROPEJSKI KORPUS SOLIDARNOŚCI
RAZEM MOŻEMY WIĘCEJ

Przedruk materiałów zamieszczonych w książce w całości lub części możliwy jest wyłącznie za zgodą redakcji. Cytowanie oraz wykorzystywanie danych empirycznych dozwolone jest z podaniem źródła. Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania nadesłanych tekstów. Publikacja sfinansowana z funduszy Komisji Europejskiej w ramach programu Europejski Korpus Solidarności. Komisja Europejska nie ponosi odpowiedzialności za treść umieszczoną w publikacji.

Publikacja bezpłatna

Bonifacego, Kołobrzeska, Powsińska, Kąkolewska, Koronowska, Godebskiego to ulice, na których wychowywali się bohaterowie tej publikacji. To z nimi mamy możliwość zajrzeć nad jeziorko, pójść na targ, do szkoły, kupić w kiosku „Świerszczyk", kopać tunele w piasku lub zagrać w zbijaka.

Wydawca:

Wytwórnia Inicjatyw Twórczych

Partnerzy:

projekt współorganizuje dzielnica Mokotów

Projekt zrealizowany w ramach inicjatywy lokalnej.

Finansowane przez Unię Europejską

EUROPEJSKI KORPUS SOLIDARNOŚCI

RAZEM MOŻEMY WIĘCEJ

ISBN 978-83-67840-00-2